

Serhij Żadan

# **BIG MAC**

Przełożył  
**MICHAŁ PETRYK**

Wydawnictwo Czarne  
Wdowiec 2005

**GTW**

Tytuł oryginału ukraińskiego BIG MAK

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ  
Zdjęcie Autora na IV stronie okładki © by WŁADYSŁAW  
HETMAN, 2003

Copyright © by SERHIJ ŻADAN, 2003

Copyright © by Wydawnictwo „CZASOPYS  
«AKRYTYKA»”, 2003

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO  
CZARNE, 2005

Copyright © for the Polish translation by MICHAŁ  
PETRYK, 2005

Redakcja IZA KALUTA

Korekta MARIANNA CIELECKA

Projekt typograficzny i łamanie ROBERT OLEŚ

ISBN 83-89755-17-3

*Ta książka ukazała się dzięki istnieniu  
w rzeczywistości Jurija Andruchowycza  
Christiana Loidla i Włada Hetmana.  
I właśnie im ją dedykuję.*

## **Berlin, który straciliśmy**

Nabraliśmy tyle różnej muzyki, że już nikomu nie chciało się jej słuchać. Jakieś serbskie orkiestry ludowe, stare soundtracki, do tego Sylva, jak zawsze, miała pełne kieszenie swojego porąbanego nu jazzu, który wszystkim polecała i którego nikt poza nią nie słuchał, bo nu jazzu po prostu nie da się słuchać. W ogóle wydaje mi się, że kiedy ktoś się nad czymś długo i z uporem rozwodzi, to zwykle oznacza, że ten ktoś sam to właśnie wymyślił, coś jak, powiedzmy, nowy jazz; myślę, że Sylva mogła wykopać te nagrania w jakimś studiu, u siebie w Pradze, popsuć płyty jak trzeba i teraz udawać, że to muzyka atonalna. Chociaż wcale nie musiała tego robić. Gdzieś między fotelami naszego renault, pomiędzy puszkami coli i przewodnikami, powinno się znaleźć parę albumów starego dobrego Lou Reeda z czasu jego największego rozkwitu i toksykacji, kasety też, a propos, były czeskie, firma Globus, szorując po świeżych śladach wielkiej europejskiej transformacji końca lat osiemdziesiątych,

wygrzebywała złote zapasy muzyki pop, no i stary dobry Lou Reed, jak to się mówi, podszedł. Ale wątpię, czy przyjdzie kolej na niego - Sylva zbyt energicznie wystukuje na kierownicy rytm (jeśli można to nazwać rytmem) atonalnej papki, która, niby z maszynek do mielenia mięsa, sączy się z zachrypłych głośników wmontowanych w deskę rozdzielczą.

- Sylva, to jest po prostu jakiś koniec cywilizacji! - krzyczę z tylnego siedzenia. - Naprawdę słuchasz tego w wolnym czasie bez przymusu?

Sylva śmieje się, ale raczej nie rozumie mojego żartu, zresztą jaki to w dupę żart - tak, coś w rodzaju jej atonalnego jazzu. Nasz przyjaciel Gaspar, bezpośredni i jedyny właściciel samochodu, rozwalił się na przednim fotelu i ledwie śledzi przebieg wydarzeń dookoła siebie. Wczoraj rozeszliśmy się w nocy, koło wpół do trzeciej, przedtem długo piliśmy, starając się ustalić, kiedy najlepiej wyjechać. Ostatnią zgrzewkę piwa kupowaliśmy już na stacji benzynowej, Gaspar pozwalał sobie na takie małe radości - nakupić piwa i pędzić przez zaspany Wiedeń, ścinając zakręty i trąbiąc do samotnych żandarmów. Możliwość sankcji nie przerażała go - u siebie w domu, w Lublanie, mógł kupić nowe prawo jazdy tak samo łatwo, jak zgrzewkę piwa na wiedeńskiej stacji benzynowej. Poza tym otwieraliśmy piwo zapalniczką, chociaż można je było po prostu odkręcić; w zjednoczonej Europie nawet z piwa zaczęto robić fast food, Amerykanie po prostu srają do głów całemu światu

swoim know-how w rodzaju butelek do piwa z rzeźbieniami albo zimnej zielonej herbaty w puszkach. Pod koniec Gaspar opowiadał dowcipy o Bośniakach, potem się rozeszliśmy z postanowieniem, że już o dziewiątej rano zapakujemy rzeczy do bagażnika renault i wyruszymy z marcowego i chłodnego Wiednia w kierunku Berlina.

Usiąść znowu za kierownicą Gaspar się nie odważył, musiał jeszcze trochę odtajać, zrzekł się miejsca kierowcy na korzyść Sylvy, która, jak na młodą porządną Czeszkę przystało, piwa z nami na stacji nie piła i specjalnych objawów nie miała, siadła więc za kierownicą i zaczęła myszkować po porannych ulicach w poszukiwaniu trasy na Berlin, bo drogi żadne z nas, rzecz jasna, nie znało, chociaż właściwie Gaspar znał, ale nie w takim stanie.

Gaspar otwarcie odpadał, ciężko wdychał powietrze i tak samo ciężko wydychał je na boczną szybę, przez co zachodziła ciepłą, gęstą parą. Sylva naiwnie włączała nawiew i nie mogła zrozumieć, czemu okna parują.

- Sylva, to przez zmianę ciśnienia - mówię jej. - Nawiew tu nie pomoże. Jazz, a propos, też nie.

Tak się składa, że mam pić sam. Pomiędzy Sylwą i Gasparem istnieje dżentelmeńska umowa, że gdzieś tam, po umownym przekroczeniu granicy austriacko-niemieckiej, zastąpi ją za kierownicą, a na autobahnie pić jednak się nie odważy, więc otwieram sobie kolejną puszkę, zrywając z niej zawleczkę, i staram się podtrzymać rozmowę. W ogóle to pierwsze sto

kilometrów trasy znam, w zeszłym roku jechałem tędy stopem, zabrał mnie wtedy jakiś szalony punk, który przez cały czas nerwowo pił sprite'a, suszyło go, wyglądało jakby od upalenia, ale gnał na zachód, bo musiał, już nie wiem, co on tam miał, może mama czekała, jednak wyglądał na nieszczęśliwego. Kiedy wyjąłem z plecaka butelkę wody, spytał, czy to nie wódka, u was przecież, tam w Rosji, wszyscy piją wódkę, nie, nie wódka, mówię, a on wesoło się roześmiał. Ale tępy punk mi się przytrafił. Teraz próbuję opowiedzieć to Sylvie, wyławiając jej uwagę z atonalnych jazzowych dołów i jam, Sylva się zgadza - tak, naprawdę tępy punk, nie pogadasz, rozmowa się nie klei i otwieram następną puszkę, wszystko jedno, póki co nic ciekawego - gołe pastwiska, bezlistne pasma lasów, smutne marcowe Austro-Węgry, możliwe, że takimi je zapamiętali żołnierze rosyjskiej piechoty wiosną czterdziestego piątego roku, dość depresyjny landszaft, kiedy rozpierdalali na prawo i lewo elitarne dywizje nieszczęsnych narodowych socjalistów. W tym czasie kasetka kończy się i zaczyna kręcić się w drugą stronę, nowy jazz znowu chwyta za gardło, zabieram się do szukania pod fotelami zapomnianego i przysypanego orzeszkami starego dobrego Lou Reeda. „Jazz to muzyka dla tłustych” - mówię Sylvie i zmieniam kasetę.

Gdzieś już na terytorium Niemiec trafiła się nam kolumna wojskowa, która rozciągnęła się na dobre



dwadzieścia kilometrów. Ciągniki i dżipy toczyły się ospale ze wschodu na zachód, w przestronnych kabinach siedzieli wystrzyżeni zawodowcy i z niezadowoleniem reagowali na zainteresowanie, jakie budzili. Wzdłuż kolumny latały bojowe helikoptery, rozganiając wypłoszone taką ilością wojennej maszynerii smutne bawarskie wrony. Gaspar, któremu wróciła naturalna zuchwałość, siedział teraz za kierownicą i wesoło trąbił do sennych sierżantów, a ci na każdy sygnał wychylali się z okien i uważnie oglądali nasz samochód, nie wypuszczając spomiędzy zębów tanich gauloise'ów. Dokąd można przewozić tyle wojskowego sprzętu? Może Bundeswehra w cieniu zamieszania, związanego z czasem siewów w krajach UE, postanowiła przerwycić kilka oddziałów szybkiego reagowania jak najbliżej Freiburga, żeby tradycyjnie dać po tłustej dupie rozmamłanym przez globalizację Francuzom, zająć kilka przygranicznych miasteczek, wystrzelać komunistów i Arabów, zrobić to, powiedzmy, przy pomocy Żydów, spalić kilka supermarketów i tak samo niepostrzeżenie wrócić, chowając ślady za zasłonami dymnymi. Dzielę się tą myślą z Gasparem.

- Nie, co ty - Gaspar jeszcze niezupełnie oprzytomniał, ale mówi już wyraźnie - popatrz na nich, oni po prostu nie wiedzą, gdzie ta Francja jest położona.

Wyjrzałem przez okno. W ciągniku, który właśnie wyprzedzaliśmy, siedział gruby żołnierz, raczej pokrojony niż ogolony, i pił mineralną z butelki. Potarłem

dłonią zaparowane szkło i jeszcze raz popatrzyłem na żołnierza. Zobaczył mnie i odpowiedział różnym wojskowym spojrzeniem. Zamknąłem oczy i spróbowałem więcej o nim nie myśleć.

Pod Monachium Gaspar zajeżdża na stację i idę po kolejne piwa. Ciężko jechać od rana, nawet jeśli to dobry autobahn, a nie rozjeżdżona wschodnioeuropejska trasa, gdzie na poboczach leży żwir - szary i zimny, jak na brzegu morza; wszystko jedno, zbyt ciężko, kiedy nie ma co robić, piwo się skończyło, nawet jazz się skończył, wszystko, co dobre w tym życiu, kończy się w trzeciej lub czwartej godzinie podróży samochodem i pozostaje śledzić, jak radiowym didżejom zmienia się wymowa, im dalej na północ, muzyka też się zmienia, chociaż w ostatecznym rozrachunku - to samo gówno. W sklepiku obok stacji kilku młodych homoseksualistów, rozmawiając po rosyjsku z lekkim białoruskim akcentem, wybiera okulary słoneczne. Trzymam w każdej ręce po dwie butelki piwa i zatrzymuję się popatrzeć - kupią czy nie. Na dworze jest plus pięć i do samego Berlina ciągną się chmury, trzeba przynajmniej spojrzeć, co będą z tym dobrem robić. Jeden z nich gwałtownie się do mnie odwraca i prezentując okulary w jakimś głupawym różowym kolorze, pyta, no jak, co powiesz, pasują? OK, mówię, pod kolor twoich oczu. Obraża się i odkłada okulary. Wracam do samochodu i otwieram pierwszą butelkę. Jeszcze kilkaset kilometrów i będzie Berlin, do

którego w trójkę jedziemy - bez celu i bez specjalnej chęci. No, ale skoro się umówiliśmy, to trzeba jechać, zresztą zostało już bardzo niewiele drogi - trzy godziny dobrą autostradą, która w różnych miejscach jest w rozbudowie, Deutschland rośnie w siłę, dobry kraj, co tu dużo gadać, mogłoby być trochę mniej Japończyków z ich kodakami i w ogóle byłoby super, ale to nic, tym bardziej że oto on - Berlin, nie minęło pół doby i już wjeżdżamy na jego przedmieścia, Gaspar stwierdza, że zna tu dużo dobrych tanich hoteli, odpowiadamy, że to się nie zdarza, hotele bywają albo dobre, albo tanie, kombinacje raczej nie istnieją.

W końcu się zgubiliśmy. Gaspar śmigał ulicami, ciągle mu się wydawało, że już poznaje drogę i że nasze tanie i jednocześnie dobre hotele są gdzieś blisko, prawie że się do nich wprowadzamy; stopniowo zaczął się denerwować, gwałtownie naciskał na hamulec przed światłami, i pytał każdego, kogo można było spotkać tego ciemnego deszczowego wieczora na berlińskich chodnikach, kilka razy zatrzymywał się nawet obok kurew, które stały na każdym rogu w białych pończochach, skórzanych mundurach i wysokich grenadierskich butach, z wielkimi parasolkami w dłoniach. Kurwy z początku odbierały pytania o hotel jak aluzję, ale zauważywszy Sylwę, która lękliwie uśmiechała się do nich z samochodu, energicznie kłęły w dobrym niemieckim, zresztą z wyczuwalną słowiańską intonacją. Wreszcie, po którejś kolejnej próbie, już po ósmej

wieczorem, Gasparowi udało się spełnić swoje obietnice i wyładowaliśmy się obok podejrzanego szarego budynku, na którym rzeczywiście napisane było „pensjonat”.

W recepcji siedzi koleś z kolczykami w obu uszach, gada po serbsku i ogląda mecz. Gaspar jako rodak szybko dobija z nim targu, hotel rzeczywiście jest tani, dajemy kasę, ale recepcjonista nie chce nas puścić, otwarcie się nudzi, a my jesteśmy dla niego ni mniej, ni więcej, tylko braćmi Słowianami, chociaż w tym mieście mógłby znaleźć sobie kilkaset tysięcy takich kuzynów, zaczynając od ulicznych kurew, ale na kurwy chyba nie ma pieniędzy, skoro hotel jest naprawdę tani, dużo nie zarobi. Siadamy na swoich torbach i oglądamy mecz, gra Monachium z Manchesterem, „za kim jesteś?”, pytam go, „sram na to”, mówi recepcjonista, „po prostu lubię sport”, i wyciąga spod pudła wielkiego, mocno nabitego jointa, i proponuje go nam, no a my nie odmawiamy. Kończy się pierwsza połowa.

...schylam się nad umywalką i wkładam głowę pod strumień zimnej wody. Na chwilę robi mi się lepiej, potem znowu zaczyna się telepanie, i głowa boli najpierw z lewa na prawo, a potem na odwrót i tak bez przerwy. Telewizor włączony na MTV; kanałów porno w tym hotelu, oczywiście, nie ma, jakie mogą być kanały porno przy takich recepcjonistach, w pokoju stoją dwa łóżka, na nich dwa komplety pościeli, na dwóch nocnych stolikach leżą dwa Nowe Testamenty w skórzanych oprawach,

ogólna symetria tylko wzmacnia napady nudności, chociaż przypuszczam, że może tak być po prostu przez piwo. Albo przez MTV.

Podobają mi się miasta w ciągu pierwszych godzin pobytu. Wtedy jeszcze ukrywają mnóstwo niespodzianek i wyobrażenie o nich jest czyste, niczym hotelowa pościel albo papier do ksero - za każdym rogiem może zacząć się cokolwiek, a to cokolwiek jest znacznie ważniejsze od całej topograficznej wiedzy. No i Berlin oczarowuje od pierwszego wejrzenia, potężny i wypełniony nowymi budowlami, tak może wyglądał Babilon, zanim zaczęto tam budować wszelkie wątpliwe wieże. Widziałem już kurwy, widziałem najaranego recepcjonistę, zdążyłem nawet przywitać się z kilkoma sąsiadami Turkami, też czymś nakręconymi, chociaż może u nich to mentalne. Ogólnie Berlin sprawił całkiem niezłe wrażenie. Ciekawe, czy są tu Niemcy?

Sylva, jako najprzystomniejsza z naszej trójki, znajduje w recepcji program festiwalu współczesnej muzyki, który dopiero co się skończył, i oświadcza, że musimy jechać teraz w tej chwili - jeszcze zdążymy - na koncert finałowy w wykonaniu francuskiej orkiestry, która jest jedną z najlepszych w swoim rodzaju, z czego wynika, że gdyby muzyka atonalna dzieliła się na lepszą albo gorszą, to ta orkiestra byłaby mistrzem, jesteśmy więc pozbawieni wyboru, trzeba jechać. Gaspar zdąży zmienić koszulę, ja zdążam pobawić się pilotem - kanałów porno nie ma - i

znowu włazimy do samochodu. Na zakrętach po podłodze przetaczają się puste puszkę po piwie, kartki przewodników łopoczą w przeciągu. Po Berlinie, oczywiście, można jeździć kilka dni bez przerwy i pejzaż nie stanie się bardziej znajomy. Miasto jest tak hojnie wypełnione rusztowaniami budów, że można przypuszczać, że tutejsi mieszkańcy co rano wychodzą ze swoich domów i zaskoczeni nie poznają widoku, który zdążył się zmienić dosłownie przez jedną noc. Berlin przypomina młodą osobę płci męskiej, jakiegoś ucznia technikum, który niedawno zaczął palić i masturbować się, przez co jego głos doznaje codziennych transformacji (od palenia, rozumie się), no i w ogóle codziennie robi się wyższy o jeden milimetr, wyrastając z obcisłego szkolnego mundurka. Lubię miasta, gdzie dużo budują. Tam jest praca dla wszystkich. Nawet dla Turków.

W bufecie przy sali koncertowej alkohol jest odczuwalnie droższy, i do tego tworzy się kolejka melomanów, oczywiście. Ale udaje nam się wypić po piwie i reagując na energiczne wołania Sylvy, idziemy szukać swoich miejsc. Publiczność nie wróży niczego dobrego. Scenę umieszczono w dole, na środku sali, z sufitu zwisa kilkadziesiąt mikrofonów, jak prysznice w publicznej łaźni, Sylva mówi, że tu jest bardzo dobra akustyka, jedna z najlepszych sal w Europie, i właśnie tutaj trzeba słuchać atonalnej muzyki. I nowego jazzu - dodaje, a Sylva zgadza się ze mną.

Niespiesznie zaczęli wychodzić muzycy. Niektórzy

byli w dżinsach, niektórzy w swetrach, w dresach nie było nikogo, i za to dzięki. Ostatnia wyszła dyrygentka. Kobieta. To był dobry znak. W przyszłości przewidziana była przerwa, ale najpierw trzeba było wysłuchać czterdziestu minut zabójczego atonalnego soundu, Sylva naprawdę znała się na takiej muzyce, cała się napreżyła i przebiegała palcami po niewidzialnej klawiaturze. Jej łatwiej - jest pianistką. Ale ludzie przeważnie nudzili się, chłopak na prawo ode mnie po prostu zasnął, serio, podczas atonalnych pauz jego chrapanie plastycznie wyłaniało się z ogólnej ciszy. Nie ma co - akustyka doskonała.

W nocy znowu znajdujemy się na deszczowej ulicy. Po koncercie jakaś melomanka zdążyła nas uprzedzić, że festiwal tak naprawdę się jeszcze nie skończył, że ostatnia akcja (tak powiedziała - „akcja”) właśnie zaczyna się w poczekalniach byłego Dworca Hamburskiego, który obecnie przerobiono na wielkie centrum kulturalne, wyjebali na to kupę kasy, teraz bawią się tam, jak sobie chcą, dlatego, jeśli jesteśmy prawdziwymi melomanami, po prostu musimy tam pojechać, nie mamy wyboru, ona sama, niestety, pojechać nie może, bo ma problemy ze snem i o tej godzinie powinna wziąć tabletki na sen - opowiada z jakiegoś powodu i robi wrażenie, że tabletki na sen już wzięła i do tego się nie ograniczyła. Dworzec jest tam - pokazuje ręką gdzieś w deszcz i tą samą ręką macha nam na pożegnanie. Możliwe, że już jej się śnimy.

Gaspar znowu siada za kierownicą i beztrudno nią

kręci w poszukiwaniu Dworca Hamburskiego. Nieopodal Bramy Brandenburskiej, akurat pod rosyjskim T-34 błotnistego koloru, stoi koleś z dyplomatką. Gaspar przystaje obok niego i wychyla się przez okno. „Man”, pyta, „nie podpowiesz, gdzie jest Dworzec Hamburski?” Koleś się uaktywnia. „Musicie zawrócić za Reichstag”, odpowiada, „przejechać przez park, potem przez most i na prawo, tam po dwóch przystankach autobusowych przeciwnie, czyli w lewo, a dalej droga się komplikuje, dalej nie umiem wyjaśnić”. „Wsiadaj, pojedziesz z nami”, proponuje Gaspar, „pokażesz, a później cię odwieziemy z powrotem”. „Nie, nie mogę”, koleś przyciska do piersi dyplomatkę, „czekam na przyjaciela”. „A twój przyjaciel, co - czołgista?”, pyta Gaspar, oczywiście po to, by podtrzymać rozmowę. Koleś ogląda się na rozmokłą diabelską bojową maszynę i radośnie się śmieje. „Nie, jest inżynierem”. „Super!” - krzyczy Gaspar i zostawia koleśka samego z T-34. Dziwni ludzie, ci berlińscy inżynierowie, myślę, zasypiając na tylnym siedzeniu.

- Serż, wstawaj - mówi do mnie Sylva.
- Gdzie jesteśmy?
- Na dworcu.
- Na jakim dworcu? - pytam wystraszony.
- Na Hamburskim.
- Która godzina?
- Pierwsza. Idziemy.

Wyłączę na zewnątrz i posłusznie idę za przyjaciółmi.



Warto im ufać, oni nie ustawiają się o północy pod radzieckimi czołgami i nie żrą tabletek nasennych przed koncertami muzyki atonalnej. Perony i sale dawnego dworca naprawdę przerobiono na wielkie muzeum, idziemy długimi, pustymi korytarzami, które podobne są raczej do okrętowych doków, na końcu jednego z nich stoją dyżurni, wy dokąd, pytają, my, mówimy, na koncert, jesteśmy melomanami, a, no to idźcie - beznamiętnie wzruszają ramionami dyżurni, demonstrując obojętność, brak im pokory, myślę, może w poprzedniej inkarnacji byli strażnikami, i to na tym samym dworcu.

Było już po pierwszej, otwarty był tylko kibel, bar i jeden - bardzo przestronny - pokój, w którym odbywała się akcja. Gaspar jeszcze spróbował potargować się o bilety, ale w końcu zrezygnował, zapłaciliśmy tyle, ile od nas chcieli i omijając bar, weszliśmy do wypełnionego melomanami pokoju. Pod ścianą z prawej strony stała kobieta z bezprzewodowym mikrofonem i śpiewała. Na ścianie obok niej wyświetlany był rysunkowy film jej produkcji. Muzykę i słowa, jak zrozumiałem, też sama napisała. Myślę, że do przebudowy dworca i do zburzenia berlińskiego muru też przyłożyła rękę. Kobieta śpiewała do muzyki z płyty, podczas gdy na białym płótnie ekranu ociężałe poruszały się jakieś zwierzęta, pojawiała się wątpliwej urody papierowa królewna, potem podobnie ohydny książę, pomiędzy nimi coś tam się działo, kobieta śpiewała długo i wytrwale, i w

którymś momencie po prostu nie wytrzymaliśmy, i poszliśmy do baru. Gaspar oburzał się i żądał zwrotu pieniędzy. Ale para bileterów, którzy opylili nam wcześniej bilety, już zapobiegliwie się spakowała i znikła w labiryntach Dworca Hamburskiego. Byliśmy ich ostatnimi klientami. Pozostało tylko wrócić do baru, gdzie siedziało, rozpaczliwie żłopiać, już ze dwa tuziny melomanów, którzy zwątpili tak jak i my.

- Dobrze, że nie tańczy - oburzał się dalej Gaspar. - Kim są ci wszyscy palanci, którzy jej słuchają?

Od sąsiedniego stolika usłyszeliśmy śmiech. Oglądamy się i widzimy siwą kobietę, która trzyma w ręku szklanę stołowego wina, i, zdaje się, zgadza się z nami. Na jej stoliku stoją już dwie puste szklanki.

- Grupowa masturbacja - mówi Gaspar do niej, jakby się witał - no nie?

- Tak - mówi kobieta, wstaje i miękko się poruszając, przysiadła się do nas.

Nazywa się Nina, mówi, że trafiła tutaj przypadkowo, że próbowała obejrzeć film do końca, ale nie udało jej się. Podobamy się jej, mówi. Szczególnie podoba jej się Sylva. Nina otwarcie pożera ją wzrokiem, jednocześnie podtrzymując rozmowę z Gasparem, z którego po prostu wylewa się gwałtownie wykład na każdy dowolny temat, Gasparowi wiele do szczęścia nie trzeba - wystarczy, że dasz mu pogadać, powinien być nie malarzem, a wykładowcą, prowadziłby sobie zajęcia dla studentów z Lublany, powiedzmy, o muzyce atonalnej.

- A to jest Sara - mówi Nina - przyjaźnimy się.

Sara nadchodzi od strony baru, trzymając w rękach jeszcze dwie szklanki wina. Jest młodsza od Niny dwa, a może trzy razy, podobna do jednej mojej lwowskiej znajomej, ma lekko spuchniętą od niespania i alkoholu twarz, zielone oczy i długie jasne włosy. Nina zaczyna jej wyjaśniać, że no, mówi, młodzi przedstawiciele słowiańskiej kultury, melomani, że tak powiem, też nie wyrobili, nie dali rady do końca obejrzeć tego przekłętego filmu, tak jak i my, dziewczynko, ale są super, mówi, i wskazuje na Sylwę. Gaspar dalej nawija i w którymś momencie Sara gubi się w jego rozmyślaniach, odwraca się do mnie i wyjaśnia, że bardzo się zmęczyła, bo przez ostatnie dwa dni robiła coś bardzo ważnego i dlatego prawie nie spała. „Ja też zajmuję się sztuką”, mówi. „Naprawdę?”, pytam, „a czym dokładnie?”. „No, robię różne projekty”, mówi niepewnie, „a jak masz na imię?”. „Serż. Czyli Serhij”. „O, u was to bardzo popularne imię!” „Tak”, mówię, „tam u nas co drugi to Serż”. „Musimy się jeszcze spotkać, na przykład, w Wiedniu”. „Zostaw adres”, mówię, „mogę do ciebie napisać”. Sara długo grzebie w kieszeniach dżinsowej kurtki, wreszcie znajduje jakiś kawałek papieru, z jednej strony jest reklama rekolekcji, ale druga jest czysta, i na niej zapisuje adres. „Aha”, mówi Nina, »ja też zostawię ci adres”. I daje mi wizytówkę. Czytam adresy na wizytówce i na kartce, na której napisała Sara - to ten sam adres, ale nazwiska są różne. „Dobra”, mówię, „napiszę do was

dwa listy”.

W tym czasie drzwi obok otwierają się i wychodzi z nich znana nam już śpiewaczka, a za nią, jak szczury z podziemia, sunie stado widzów. Przed drzwiami, które odgradzają ich od baru, gdzie siedzimy, stoi parawan. Śpiewaczka wchodzi za niego i kuca, widzowie pozostają po tamtej stronie i, inaczej niż my, nie widzą jej, widzą tylko parawan. Kucając, śpiewaczka śpiewa do swojego bezprzewodowego mikrofonu jeszcze z dziesięć minut. Z tej strony patrzy na nią z potępieniem dwadzieścia par nietrzeźwych oczu. Publika z drugiej strony pokornie czeka. Wreszcie śpiew się kończy i zaczynają się gratulacje. Ktoś nawet się z nią całuje, chociaż jest mocno spocona z powodu długotrwałego śpiewu i sędzę, że całować ją jest nieprzyjemnie. Słuchać zresztą też.

Było już koło trzeciej, kiedy Nina zaproponowała, żebyśmy pojechali coś zjeść. Zgodziliśmy się ospale i zaczęliśmy przebijać się przez tłum melomanów, zostawiając ich sam na sam ze śpiewaczką pośród pustych peronów dawnego Dworca Hamburgskiego.

Po nocnym Berlinie snuje się mnóstwo luda, turyści, Japończycy, skinheadzi, studenci. Koło Hiltona wielki korek: robocopy na motocyklach zamknęły wszystkie podjazdy do hotelu, widać, jak koło głównego wejścia zatrzymuje się kilka masywnych mercedesów i wychodzą z nich jakieś aż nadto oficjalne osoby. „Patrz, przyjacielu”, mówi Gaspar, „samego towarzysza Joschkę Fishera widzieliśmy”. Staramy się nie zostawać w tyle za

autem Niny, które miota się przed nami. Nina siadała za kierownicą już w niezłym stanie, pewnie w ciepłym samochodzie porządnie ją rozłożyło, w ciemności już ze dwa razy pojawiły się czerwone błyski, gliniarze ze swoich zamaskowanych samochodów śledzą i fotografują wszystkich, którzy przekraczają prędkość. I o ile Gasparowi wszystko jedno, za parę dni już go tu nie będzie, o tyle Ninę bez wątplenia czekają nieprzyjemności. Jakies dwadzieścia minut później znajdujemy włoską restauracyjkę, okolica nabita jest samochodami przyzwoitych berlińczyków, wolne miejsce można znaleźć dopiero na sąsiedniej ulicy, noc przecież wreszcie dobiega końca i do restauracji zaczynają złączyć się stali bywalcy, nie wiem, kim są, ale wszyscy się tu z nimi witają. Oni też ze wszystkimi się witają, nawet z nami, podobni do robotników z nocnej zmiany, ale wątpię, żeby włoscy robotnicy chodzili o czwartej rano po restauracjach, to chyba dla nich za duży szpan, już prędzej jacyś melomani. Albo sutenerzy. Następną godzinę wypełnia się gadaniem Gaspara, Nina rozpaczliwie we wszystkim się z nim zgadza, ja stopniowo zasypiam, a Sara otwarcie klei się do naszej czeskiej przyjaciółki. „Spotykają się dwaj Bośniacy”, zaczyna Gaspar i budzę się, sprawa zbliża się do zakończenia, czas jechać do domu, Sara też zbiera wszystkie swoje okulary, komórkę bez karty, arafatkę, notes cały w szmince, wpycha wszystko do torby i zbiera się do domu. Jej sąsiadka na to nie reaguje. »Zamówić ci

taksówkę?”, pytam i idę do kelnera. Kelner, młody Włoch, mruga do mnie oboma oczami, zamawia przez telefon taksówkę i wesoło wciska mi w dłoń prezerwatywę.

- Dzięki - mówię - nie potrzebuję.

- Weź, weź, to gratis, czyli za darmo.

Ja z kolei grzebię w kieszeniach, znajduję pudełko zapalek z reklamą wiedeńskiego radia Orange, dobra stacja, zawsze grają hip-hop, i podaję mu: „Trzymaj, to z Wiednia”. Koleś podaje mi rękę i mknie witać nowych gości, wracam. „A po co wykopałeś dół, pytają Bośniaka”, Gaspar jest pobudzony, jakby nie pędził pół tysiąca kilometrów. „Saro”, mówię, „twoja taksówka zaraz będzie”. Sara mówi wszystkim „do widzenia” i wychodzi w poranne ciemności. Po jakichś dziesięciu minutach my też wychodzimy, teraz trzeba tylko znaleźć te zasrane samochody - i do domu, do hotelu, gdzie jest prysznic, MTV i Nowy Testament, nawet dwa Nowe Testamenty, tak że w razie czego można poczytać chóralnie. Nina stara się wyjechać spomiędzy dwóch aut, gdzie godzinę temu wcisnęła swojego volkswagena, leciutko potrąca samochód z przodu, potem wrzuca wsteczny i tak samo popycha ten z tyłu, przetacza je jak bilardowe kule, wreszcie wydostaje się, cisnie na gaz i znika za rogiem. Sylva macha do niej ręką, ale niezbyt energicznie, żeby nie zawróciła.

Za oknem wisi mgła, przez nią przebija się

przycmione poranne światło, wielkie mokre płatki śniegu lepią się do szyb i od razu topnieją. Po nocy powietrze jeszcze się nie ogrzało, ale śnieg i tak topnieje, jeszcze w locie, po szkle ściekają wielkie tłuste krople, brnę korytarzem z hotelowym ręcznikiem i head&shouldersem w poszukiwaniu prysznic. Łazienka jest na końcu korytarza, stamtąd dobiega dźwięczny wielogłos. Otwieram drzwi, bucha para, korytarz wypełnia się ciepłą mgłą, robię krok do środka i staram się dojrzeć, co jest tam, za mgłą, a tam stoi kilku gołych teenagerów, na podłodze walają się ich podkoszulki, może to jakaś drużyna piłkarska, myślę, kto wie, kto tu się zatrzymuje, ale spod strumieni wody wychodzą jeszcze dwie gołe teenagerki, chociaż łazienka, tak w ogóle, jest męska. Teenagerzy, widząc mnie, starają się pozbierać swoje rzeczy, robię uspokajający gest, coś jak, myjcie się, myjcie, przyjdę później, ale oni śmieją się i mówią, stary, wszystko w porządku, już się umyliśmy. I my też, mówią teenagerki. „A wy co, nocowaliście tu?“, pytam, tak żeby o coś spytać. Teenagerowie dalej się śmieją, nie, mówią, po prostu tu lepiej wcześniej zająć miejsce, bo później przychodzą Turcy. „Słusznie“, zgadzam się, „lepiej w ogóle wieczorem się umyć, żeby z rana się nie powtarzać“. Teenagerzy się śmieją - naprawdę piłkarze - i zbierając stroje, ręczniki i gołe teenagerki, oddalają się gdzieś w nieznane, możliwe, że na zgrupowanie kadry.

Odkręcam gorącą wodę i podchodzę do okna. Za

oknem zwisa rozmokłe berlińskie niebo, na parapecie leży kilka wielkich płatków śniegu, otwieram okno i mgła wypęza na zewnątrz. Drzwi za moimi plecami się otwierają i do pomieszczenia obok, gdzie umieszczono kilka kabin z toaletami, wchodzi stary, wymięty przez życie Turek. „Cześć”, mówię, „ładny mamy dziś dzień”. „Niczego sobie”, odpowiada on przez wąsy, wchodzi do kabiny i zaczyna głośno rzygać. Zakręcam kran i wracam do pokoju.

Po południu Gaspar pakuje katalogi swoich prac i wybiera się do znajomej właścicielki galerii. Jako prawdziwi przyjaciele chcemy mu towarzyszyć, zresztą robić w tym hotelu, szczerze mówiąc, nie ma co - Nowy Testament przeczytaliśmy, MTV pooglądaliśmy, Sylva nawet pożyczyła Turkom paracetamol, chociaż po cholere im paracetamol, nie wiem. Gaspar długo zdzwania się z babką z galerii, wreszcie ta mówi OK, przyjeżdżajcie, i jedziemy. Na ulicach pachnie zeszłoroczną trawą i chińskim fast foodem. Galerię razem z właścicielką znajdujemy na piątym piętrze budynku w samym centrum, żadnych szyldów nie ma, galeria jest kultowa i niekomercyjna, z czego żyją - nie wiadomo, właścicielka otwiera nam drzwi i znajdujemy się w wielkim mieszkaniu, którego ściany obwieszane są abstrakcyjnym malarstwem. Pod każdym obrazem przyczepiono cenę, ceny są nierealne, jak i sama galeria. Właścicielka, wedle najlepszych tradycji narodowego socjalizmu, każe nam czekać mniej więcej trzydzieści minut, dopóki rozmawia



z jakimś mężczyzną, też oczywiście malarzem, obcy tu nie wchodzi, a my znajdujemy w kącie wielkie akwarium, w którym leżą dwa żółwie i nawet nie zamierzają się ruszyć, póki właścicielka ciągnie pogawędkę, gra na czas, żółwie leżą sobie na wmontowanych w akwarium szklanych tarasach, wytrzeszczając w naszą stronę swoje przedpotopowe gały i w ogóle wywołują przemożne obrzydzenie, przynajmniej u mnie. Z takim samym efektem właścicielka mogłaby trzymać żółwie w spirytusie - przynajmniej nie musiałaby ich karmić. No i pachniałoby wtedy lepiej. Gaspar wpycha właścicielce swoje katalogi i idziemy na piwo. Sylva ciągnie nas do przyjaciela-malarza, starego Czecha-dysydenta, ale jeszcze za wcześnie, żeby iść w gości i wyruszamy do centrum kultury naprzeciwko. Z zewnątrz jest to na pół rozwalony budynek otoczony placami budów, jednak w środku to prawdziwa twierdza organizacji anarchistycznych, lewej sztuki i po prostu alkoholików. Wchodzimy do kawiarni na drugim piętrze, na drzwiach wisi odbitka ksero z napisem wejście, a za drzwiami mieści się cały hangar, zastawiony metalowymi dekoracjami, ciężkimi drewnianymi meblami i obwieszony abstrakcyjnym malarstwem. Gdzieś spod sufitu od czasu do czasu wyrywają się języki ognia - naród odpoczywa po dorosłemu, chlejąc, jak się zdaje, od samego rana. W powietrzu unosi się przyjemny zapach tequili i rzygowin. Z boku na scenie siedzi stary ćpun w znoszonych

dżinsach, z dwiema parami słuchawek na szyi. Po jego prawej stronie stoi adapter i wielka waliza, dokładnie wypchana starymi winylami, a po lewej siedzi jego woman, też w dżinsach, i kiedy ćpun jedną ręką nastawia kolejnego singla, jego druga ręka spoczywa na ramieniu wiernej squaw. I tak sobie siedzą na scenie i puszczaają nagrania z lat sześćdziesiątych, i w zasadzie nikomu nie przeszkadzają.

Wytrzymaliśmy z półtorej godziny. Po trzecim piwie Sylva zdecydowanie wstała i powiedziała, że albo zostajemy tu z tym tępym kolesiem na scenie i jego squaw, albo idziemy do czeskiego dysydenta, przyjaciela Vaclava Havla, i wtedy ona - Sylva - zobowiązuje się przygotować jakąś specjalną włoską sałatkę. Popatrzyliśmy na squaw i milczkiem wyszliśmy. Berlińskie niebo rozbłysło wszystkimi swoimi barwami i odcieniami, powietrze było gęste i wilgotne, ulicami szlajali się Turcy i jedli kebaby, popijając niskokaloryczną colą.

Obok budynku, gdzie mieszkał prześladowany Czech, był maleńki spożywczak, nie taki jak te wielkie i martwe supermarkety, które przypominają zbiorowe mogiły, po prostu prywatny, intymny sklepik, całkowicie wypełniony skrzynkami z piwem i bananami.

Weszliśmy i poszwendaliśmy się po kulinarnych zakamarkach, próbując znaleźć właściciela. Był to stary, otyły mężczyzna, o nieokreślonym wzroście i poglądach politycznych, czytał, zdaje się, Hemingwaya, i oczywiście

mu przeszkadzaliśmy.

- Ile pan ma tu rzeczy! - nieśmiało mówi Sylva.

- Tysiąc dwieście - sarkastycznie odpowiada mężczyzna.

- Chcielibyśmy ser i pomidory - Sylva zdecydowała się w końcu zepsuć mu humor.

- I piwo - odpowiedziałem.

- Ile? - mężczyzna trzymał się twardo i nie spieszył się, żeby nas obsłużyć.

- Pół kilograma - powiedziała Sylva.

- Dwanaście sztuk - dopowiedziałem.

- Bierzcie - pozwolił mężczyzna.

Zaczęliśmy wybierać. Wziąłem dwa sześciopaki, podszedłem do mężczyzny i wyłożyłem kasę.

- Przyjechaliśmy do pana sąsiada, malarza - zaczął znowu Gaspar. - Zna go pan?

Na twarzy sprzedawcy po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

- A - mówi - stary Czech! Znam, znam, stały klient. Przekażcie pozdrowienia staremu chujowi!

Jeszcze przez jakiś czas radośnie chrząka, bierze od Sylvy dychę za pomidory i ser, i razem z resztą nasypuje jej pełną garść owocowych landrynek.

- Miłego dnia, dziewczynko - mówi.

Sylva dziękuje i chowa karmelki do kieszeni džinsów. Wyciągam prezerwatywę i podaję mężczyźnie.

- To z Wiednia - mówię.

Ten uśmiecha się po raz drugi.

Malarz nazywa się Rudi. Naprawdę był przyjacielem Havla i robił u siebie w Czechosłowacji wielkie metalowe obiekty. Gdyby stawiano pomniki helikopterów i samolotów, wyglądałyby mniej więcej tak, jak obiekty Rudiego. Kiedy Rosjanie dali staremu Dubczekowi kopa w dupę, Rudi jeszcze przez jakiś czas został w domu i dalej robił swoje wielometrowe konstrukcje, które składały się ze śmigieł, ogonów samolotów i żelaznych belek. W którymś momencie władzę radziecką to wkurwiło, oskarżono Rudiego o abstrakcjonizm, zresztą zupełnie słusznie, i poproszono, żeby gdzieś spierdolił. Rudi wybrał Berlin Zachodni. Już po kilku latach emigracji miał własne atelier i stałe zamówienia. Jego metalowe obiekty kupowały banki i firmy ubezpieczeniowe, żeby umieścić je przy swoich office'ach. W ciągu ostatnich piętnastu lat Rudi miał w Czechach wystawy indywidualne, ale wracać nie chciał, chociaż żalu do ojczyzny nie miał. Teraz miał siedemdziesiąt lat. Wyszedł do nas na podwórko, Sylva zatelefonowała do niego z komórki, mówiąc, już jesteśmy, z piwem i serem, zejdź po nas; przyszedł w dżinsach i ciepłej koszuli, naszą przyjaciółkę znał od dzieciństwa, kiedy jeszcze nie grała na pianinie, jej rodzice byli jego znajomymi. Zaczęli się więc obejmować, a potem wszyscy weszliśmy do atelier i kiedy Sylva szykowała swoją po trzykroć nikomu niepotrzebną sałatkę, stary oprowadzał nas i pokazywał różne rzeczy - makiety, negatywy, karykatury swego przyjaciela Havla i Gorbiego, albo po prostu jakieś

pocztówki od wnuków.

Kiedy zobaczył nasze piwo, w milczeniu wyciągnął dwie butelki stołowego wina.

- Słuchaj - spytałem, kiedy już piwo się skończyło, a Rudi zakończył opowieść o swojej indywidualnej wystawie w Irlandii jeszcze w latach siedemdziesiątych - a dlaczego nie wróciłeś do ojczyzny?

- Wiesz - odstawił szklanekę na stół - chciałem wracać. Ale w którymś momencie zrozumiałem, że to nie będzie powrót, to byłaby nowa emigracja. Tak w ogóle to nie jestem kosmopolitą, ale zrozumiałem taką rzecz: tak naprawdę przestrzeń nie dzieli się na własną i cudzą, przestrzeń bywa wolna albo kontrolowana, rozumiesz? Sram na to, gdzie mija moje życie, najważniejsze - jak żyję. A tutaj żyję tak, jak mi się podoba - nachylił się i wyciągnął spod stołu butelkę chorwackiej nalewki.

- Jedyne kłopot - ciągnął dalej Rudi, nalewając - że moje prace są zbyt wielkie. Popatrzcie na to - wstał i wyciągnął z szafy album - zrobiłem tę konstrukcję dla jednej berlińskiej fabryki. Umieścili ją na ścianie, ma z pięć metrów wysokości. A teraz fabryka zbankrutowała, mają ją zamknąć i połowę tej ściany zalepili reklamą.

Otworzył album. Na jednej fotografii była jego konstrukcja, umieszczona na wielkim murze, też belki i śmigła, na dole zdjęcia przejeżdżał tramwaj, a na drugiej fotografii połowę tej ściany zalepiono już plakatami i śmigła sterczały nad nimi w górze, porzucone jak sieroty.

- I nic nie możesz zrobić? - zapytał Gaspar.

- Nie. Honorarium dostałem już dawno, a teraz oni mają wszystkie prawa do tej ściany. Imperialiści zasrani - dodał i nalał jeszcze po jednym.

- Szkoda - mówię - wygląda na to, że już jej nie zobaczymy.

- Dlaczego nie - jeśli teraz pojedziemy, to zobaczymy. To niedaleko, kilka przystanków tramwajem.

- Mamy samochód - mówi Gaspar.

- A jesteś w stanie? - zdaje się, że Rudi zachwycił się swoim pomysłem.

- Oczywiście - odpowiada Gaspar i za trzecią próbą udaje mu się w końcu przypalić marlboro.

Jesteśmy zgodni: jechać trzeba, w końcu bóg wie, co będzie z fabryką i całą niemiecką ekonomią, więc Rudi narzuca na ramiona wojskową kurtkę i wychodzimy.

Fabryka jest rzeczywiście niedaleko; wyskoczywszy z samochodu, Rudi przebiega przez ulicę i zatrzymuje się pod ścianą. W górze nad nim krzyżują się belki i śmigła, bardzo dobrze je widać w marcowych ciemnościach. Rudi podchodzi bliżej i zaczyna energicznie zrywać plakaty. Podchodzimy za nim. Stopniowo odkrywa się spory kawałek muru, spod niego wystaje część obiektu. Podarte plakaty walają się pod nogami Rudiego, jak sztandary wroga zdobyte w czasie kawaleryjskiej szarży.

- Patrz - krzyczy do mnie Rudi - to moja przestrzeń i moja ojczyzna. Wszystko, co mam - to ta ściana, i wszystko, co mogę - to czasami przychodzić tutaj i oczyszczać ją z wszelkiego gówna. Uwierz mi, to

wystarczy, aby niczego nie żałować. Nawet jeśli jutro ta pieprzona Europa do reszty się zglobalizuje i połączy z Azją, wszystko jedno, tutaj - w Berlinie - będzie ściana z moim złodem i nawet jeśli jutro umrę, to będę przysyłać tu jakichś pieprzonych aniołów, żeby zdzierali to gówno, rozumiesz? Właśnie dlatego nigdzie stąd nie wyjadę.

Pomyślałem, że ten stary przyjaciel Havla w wojskowej kurtce w zasadzie ma rację, chociaż nieźle, jak na swój wiek, się najebał, wszystko jedno, i tak ma rację, podobnie jak dziesiątki tysięcy ex-Jugosłowian i Turków, którzy murują ten nowy Berlin, stawiając wszędzie rusztowania i podpierając nimi zimne berlińskie niebiosy, które zwisają nisko i rozpaczliwie, i z których już od kilku godzin leje się coraz większy deszcz.

Dwa dni później czekałem na pociąg do Wiednia już na prawdziwym Dworcu Hamburgskim, to znaczy na dworcu w Hamburgu. Sylva i Gaspar odprowadzili mnie, chcieli jeszcze skoczyć do Dortmundu, ja miałem już wracać. Podjechał pociąg. „No to co, man”, mówi Gaspar, „zobaczymy się w domu, w Wiedniu”. „No pewnie”, odpowiadam. Kiedy wsiadałem do wagonu, Sylva podbiegła, wyciągnęła z kieszeni garść owocowych cukierków i wsunęła mi w dłoń. Na pierwszej stacji, około północy, do mojego przedziału dosiadło się trzech farmerów, powrzucaли walizki na górę i pobiegli szukać wagonu restauracyjnego. Wrócili po piętnastu minutach, bardzo narzekając, bo niczego, rzecz jasna, nie znaleźli, a łyknąć, oczywiście, się chciało. Zapytajcie konduktora -

podpowiedziałem, ale oni nie zrozumieli żartu i pobiegli szukać restauracyjnego w przeciwnym kierunku. Potem całą noc próbowaliśmy zasnąć, ale nic z tego nie wyszło, bo jak można zasnąć przy trzech farmerach?

...nad Wiedniem płynęło dużo, bardzo dużo chmur. Wsiadłem z pociągu i poszedłem do metra. Z naprzeciwka szła dziewczyna, zmarznięta i okutana w jasny płaszcz. Nerwowo przyglądała się przechodniom i drżała w porannym zimnie. Kiedy mnie zobaczyła, obejrzała się strachliwie, podeszła i spytała:

- Masz morfinę?

- Morfinę? - powtórzyłem, żeby się upewnić. W zasadzie mną też telepało po nocy w pociągu.

- No, morfinę - potwierdziła nerwowo.

Grzebałem w kieszeniach i w jej oczach pojawiło się coś jakby nadzieja. Jaka morfina? Ja co, wyglądam na kogoś, kto rozdaje na dworcu morfinę wszystkim spragnionym? A gówno. Wyjąłem z kieszeni garść owocowych cukierków i włożyłem jej w dłoń.



## Dziesięć sposobów na zabicie Johna Lennona

Niebawem znowu zacznie się zima, na pewno zacznie walić jakimś śniegiem, zobaczysz, bez tego nie mogą, koniecznie muszą nasypać całą górę tego śmiecia, który potem radośnie depczą długimi grudniowymi rankami psy, policjanci i inne półgłówki, i tak do samej wiosny z krótkimi przerwami na odwilż. Zimą wszyscy się zmieniają, robią się bardziej tępi czy co, w ogóle to ludzie i latem nie wywołują specjalnej chęci, by się z nimi zadawać, a zimą robią się po prostu niemożliwi, mężczyźni wbijają się w byle jakie przeraźliwie zielone kurtki, takie wielkie, wiesz, wielkie, przeraźliwie zielone kurtki, chodzą w nich całą zimę, jak nakręceni, i co im zrobisz, to wszystko zima, wszystko zima, latem nikogo nie zmusisz, żeby założył zieloną kurtkę, i to nie tylko dlatego, że latem w ogóle nikt nie nosi kurtki, tym bardziej zimowej, po prostu latem ludzie są jacyś prostsi, nawet do głowy im nie przyjdzie taka głupota - założyć na siebie wielką zieloną kurtkę i chodzić w niej po ulicy,

zgroza.

Właśnie zeszłej zimy poznałem Johna Lennona, właściwie poznał nas mój zmarły przyjaciel Christian, akurat dwa tygodnie przed tym, jak nałykał się czegoś i wyleciał przez okno własnego pokoju, żeby już nie wrócić, wtedy był jeszcze żywy i poszliśmy posłuchać arabskiej muzyki, był początek grudnia, miasto szykowało się do świąt, wyjątkowo cieszyło to Arabów, którzy radośnie chlali i wrzucali wszelkie środki farmaceutyczne, tak jakby naprawdę chcieli zobaczyć Jezusa, nie wiem, może zdrowe niskokaloryczne jedzenie czyni Araba bardziej podatnym na obce religie, i on naprawdę spodziewa się zobaczyć Jezusa-niemowlaka w śnieżnobiałym pampersie gdzieś na peronie wiedeńskiego metra, tam gdzie druga linia krzyżuje się z czwartą, biali dawno stracili takie iluzje, dla nich Boże Narodzenie to tylko powód, żeby tłuc się po supermarketach i nakupić całą górę przeraźliwie zielonych kurtek, ale Arabowie, zdaje się, zachowali zdolność odbierania świata po dziecięcemu, oni w ogóle są jak dzieci, cały czas garną się do materiałów wybuchowych, tak czy inaczej na koncercie muzyki arabskiej nie było zbyt wielu Arabów, przeważnie jakieś babki w dzinsach, kolesie z piwem, chociaż dwóch, trzech Arabów chodziło tam i z powrotem, tak że wszystko było w porządku i można było zacząć, no i zaczęli.

Po godzinie, kiedy Arabowie zamierzali zamilknąć, drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i do sali wtoczył się

mężczyzna, z wyglądu bardzo podobny do Johna Lennona, wyobraź sobie martwego Lennona o ósmej wieczorem, który zaczął pić o ósmej rano, od wody nawet okulary mu zaparowały, z okrągłymi takimi szklami, pamiętasz, no prawdziwe lenonki, spróbował usiąść sobie cicho z boku, ale mu się nie udało, przewrócił kilka krzeseł, przyciągając ogólną uwagę, i wtedy koncert się skończył, ludzie poleźli do szatni po swoje zielone kurtki, ale gdzie tam, facet wstaje i zaczyna zatrzymywać wszystkich przy wyjściu, otwiera szeroko objęcia, rozrzuca ręce na boki, jakby łapał ryby w górskim potoku, ludzie strachliwie próbują go ominąć, ale facet się postarał i szybko zrobił zator. Stójcie, krzyczy, stójcie, Arabowie, stójcie, jakby ich przed czymś ostrzegał, ludzie zaczęli nerwowo tupać kopytami o parkiet, a facet wyciąga wielkiego jointa i zaczyna nim machać w powietrzu. Joint, krzyczy, Arabowie, to joint, zaraz razem go spalimy, stójcie.

Znam go, mówi Christian, to mój stary znajomy, bardzo dziwny człowiek. Widzę, mówię, zdaje się, że nie lubi Arabów. Lubi, mówi Christian, to pacyfista, on wszystkich lubi, ale nie ma szczęścia w życiu, ciągle gdzieś nakaszani, to zabierze go policja, to go tirowcy pobiją. Jak to pobiją? pytam. No, przytrafiła mu się taka historia kilka lat temu, sam opowiadał, siedzieli całą noc w barze, a rano on zerwał się, żeby jechać do Włoch autostopem, wyszedł na ulicę i, wyobrażasz to sobie, od razu go wzięli jacyś tirowcy, zaczął ich wyzywać od

nazistów, i jakieś czterdzieści sekund po tym jak go wzięli, wyrzucili go, i jeszcze dali po łbie, taką ma karmę, rozumiesz, rozumiem, mówię, chujową ma karmę, nie pogadasz. Facetowi w tym czasie zaczęli dokuczać Arabowie i emerytki, którym nie udało się przebić do wyjścia, krzyczeli i oburzali się, John

Lennon też zaczął się oburzać, burżuje, krzyczy, konformiści, tłuste świnie, nie chcecie, to walcie się, nie zatrzymuję was, jednak tak naprawdę to ich zatrzymywał, no walcie się, krzyczał i machał swoim jointem nad ich głowami, z zewnątrz wyglądało to trochę patetycznie, taka sobie scena: „John Winston Lennon wygania faryzeuszy i saduceuszy ze świątyni sztuki”.

Cześć, Christian podchodzi do niego i wita się, cześć, odpowiada mu Lennon, pogodzony z tym, że Arabowie się rozbiegli i nie udało się schwytać kompana do wieczery, cześć, zapalisz? Wychodzimy na dwór, pada śnieg i palimy, dookoła snują się świąteczne tłumy, święta tuż, tuż, ludzie się cieszą i oczekują spotkania ze swoim personalnym Jezusem-niemowlakiem, a my idziemy się dorżnąć. John Lennon prowadzi nas do jakiejś anarchistycznej kluboksięgarni w trzeciej dzielnicy, gdzie w wielkim pomieszczeniu urządzono bar, postawiono kilka stolików, a w głębi pokoju - ławki jak w szkole; oczywiście, najpierw chleją, a potem referują sobie Trockiego i Kropotkina, John Lennon to tutaj swój chłopak, bluzga barmanowi i nawet go za to nie biją. Nie uspokaja się po piwie, mało mu Arabów, ciągnie mnie do

sąsiedniego pokoju, żeby pokazać bibliotekę. Rzeczywiście, biblioteka, wala się kupa pocztówek z karykaturami burżujów, zdaje się resztki nierozpowszechnionego nakładu, w kącie stoi kilka komputerów, zaraz ci pokażę fantastyczną rzecz, mówi, zaraz, zaraz, poczekaj. Próbuje włączyć komputer, ale nie zna hasła, dlatego prosi, żebym zaczekał, a sam biegnie do barmana. I siedzę przed wyłączonym komputerem, patrzę w jego czarny bezmiar i czuję, jak mi od tego wszystkiego niedobrze - i od alkoholu, i od Arabów, i od Kropotkina, i od tego Johna Lennona, palant jakiś, zaciągnął mnie w to gniazdo os i gdzieś zniknął, pacyfista jebany, wracam do baru i widzę, jak barman daje Johnowi Lennonowi w mordę, Christian wyciąga mnie na dwór, idziemy, mówi, na dzisiaj wystarczy, może, pytam, trzeba mu było pomóc, nie trzeba, mówi Christian, oni tak zawsze, tak, barman po prostu nie chce dać mu hasła bo ten rozsyła przez internet pogróżki bankom i fundacjom dobroczynnym. Barman musi potem się tłumaczyć. A jak on się nazywa, ten John Lennon? pytam. Nie wiem, tak dawno się znamy, że, szczerze mówiąc, już zapomniałem, jak ma na imię.

Kiedy doszliśmy do centrum i rozeszliśmy się w różnych kierunkach, pomyślałem nagle o czasie. Przepraszam, która godzina? pytam przechodnia. Już dwunasta, odpowiada, zdążę jeszcze na metro? pytam dalej, zdążysz, jak się pospieszysz, aha, pospieszę się, mówię, dziękuję, wesółych świąt, nie ma za co, mówi, na

pożegnanie unosi rękę i w świetle latarni rękaw jego kurtki świątecznie błyska na zielono.

No i mija kilka miesięcy, zaczyna się marzec, w mieście mokro i paskudnie, na ulicach dookoła uniwersytetu prawie codziennie demonstracje, studenci okupują kilka budynków, tłoczą się tam od samego rana i żądają ulg; kręci się tu pełno lewaków, aktywistów i agitatorów, dla lewaków to w ogóle święto - urządzać sabat na zgłiszczach szkolnictwa wyższego, teraz prawie mieszkają w uniwersyteckich korytarzach i toaletach, wreszcie, w czwartym dziesięcioleciu życia, sfarciło się koleśiom i poczuli zapach wolności; za lewakami na uniwersytet złazili się wszelcy zboczeńcy, odważni onaniści i te lesbijki, które godzinami wystawały pod damskimi toaletami, gapiąc się, jak wychodzą, przestraszone ruchem rewolucyjnym, chińskie studentki.

Któregoś dnia, w piątek po południu, pod drzwiami uniwersyteckiej księgarni znowu spotkałem Johna Lennona. Siedział na ławce w korytarzu, pił kawę z automatu, dookoła niego snuli się studenci i mówili, zdaje się, wszystkimi językami świata. Wyglądał na wymiętego, ale to można było zaliczyć do rewolucji. Postanowiłem podejść.

- Cześć - mówię mu. - Pamiętasz mnie?
- Nie.
- Christian nas poznał, łapałeś Arabów, pamiętasz?
- Nie.

Nie pamięta i widzę, że on w ogóle niewiele ze swojego życia pamięta.

- No dobra - mówię - chcesz się napić?

- Jeszcze tak wcześnie - odpowiada - dopiero druga.

- Co za różnica. Idziemy.

Wstaje i okazuje się, że obok niego na ławce leży mały Hindus, on tutaj w ogóle cały czas leży, często go widuję, taki stary Hindus koloru czekolady, kiedy się budzi, coś maluje długopisem w małym bloku, potem dosiada się do samotnych studentów i zaczyna coś do nich szeptać, a teraz widocznie się zdrzemnął, John Lennon próbuje go podnieść, po co ci on? mówię, to malarz, odpowiada Lennon, Hindus, musimy go zabrać ze sobą, żeby też się napił. I bierzemy Hindusa pod rękę, idziemy do bufetu dla studentów w innym skrzydle budynku i zaczynamy pić, właściwie pijemy razem z Lennonem, a mały czekoladowy Hindus leży sobie cichutko obok nas w fotelu i nie wykazuje specjalnych oznak życia, ledwo co wziął jakieś witaminy, mówi John Lennon, aha, mówię, znam te wasze witaminy, nałykał się tabletek, no i teraz pierdoli wszelkie rewolucje.

Wiesz, jak pomyśleć, z kim spotykasz się w ciągu swojego życia, to masz wrażenie, że ktoś specjalnie popycha najlepszych obywateli tej dziwnej planety w twoim kierunku, kiedyś będę dziękować niebiosom za to, że przyszło mi zadawać się z taką ilością potworów i nieudaczników, jestem pewien, że nikt inny nie zadawał się z tyloma outsiderami, którzy, jeśli się dobrze

zastanowić, stanowią sól naszego pokawałkowanego przez dotacje i deficyt społeczeństwa, bo co za przyjemność zadawać się, powiedzmy, z dyrektorami banków czy jakichś firm, oni gadają cytatami z własnych biznesplanów, o czym można gadać z młodymi naukowcami, sportowcami czy dilerami, no dobra, można o lunchu, pierwsze pięć minut, ale oni potem dalej gadają o tym swoim lunchu, zresztą nie ma w tym nic złego, oni mówią o nim nie dlatego, że nie mogą mówić o niczym innym, po prostu nie wiedzą, jak rozmawiać o czymś innym, no i gadają o swoim lunchu, co innego takie wyrodkie, jak John Lennon, smutne odłamki wielkiej europejskiej pseudorewolucji, w zasadzie wszędzie są tacy sami - i tu, i u nas, ich wszystkich swego czasu dopadła bolesna trauma opowieści o psychodelii i ekumenizmie, potem ich nauczyciele niepostrzeżenie przeprowadzili się do nowych mieszkań, a ci biedacy ciągle bełtają się pod zimnymi europejskimi niebiosami w poszukiwaniu pokoju i pomyślności, otrzymując zamiast tego swoją porcję wpierdolu od władz miejskich, no, na przykład ten John Lennon, rozumiesz, siedzimy razem już dwie godziny, a ja dotąd nie wiem, jak się nazywa, właściwie nie pytałem, a on nie powiedział, spytałbym Hindusa, ale on chyba zapomniał własne imię, jeśli je kiedyś znał.

John Lennon wreszcie próbuje wstać i proponuje, żebyśmy poszli. Idziemy, mówi, tu już zamykają, idziemy, tutaj obok jest klub i tam ma być dzisiaj cool



jazz, cool jazz, powtarza, głupawo naśladowując angielską wymowę, zgadzam się, i tak zaczął się weekend i nie ma co robić, nawet onaniści rozeszli się do domów, a co tu gadać o dwóch takich koleśkach jak ja i Lennon, pozostaje tylko zrobić coś z Hindusem, Lennon radzi, żeby go zostawić pod uniwersytetem, bo tu, mówi, jest jego miejsce, wszyscy go tu znają i nikt mu krzywdy nie robi, wynosimy go w wilgotne ciemności, kładziemy na ławce pod gmachem, wracam jeszcze do środka, kupuję w automacie jednorazowy kubek z kawą i stawiam Hindusowi przy głowie, niech się nie budzi z pustymi rękoma, jeśli w ogóle się obudzi. I przecierając papierową serwetką swoje okrągłe okulary, John Winston Lennon prowadzi mnie, żebym posłuchał cool jazzu.

Postanawiamy najpierw kupić haszysz, a dopiero potem słuchać jazzu, od początku wiedziałem, że tym się to wszystko skończy, niczego dobrego po tym człowieku nie było co się spodziewać, rozumiesz, odstręczyło mnie to, że zostawiliśmy Hindusa, pomyślałem - o, jeśli on nie chce ciągać ze sobą naćpanego Hindusa, może nie jest taki beznadziejny i chociaż trochę myśli o tym, co robi, no dobra, pomyliłem się, co tam. Idziemy do parku i znajdujemy tam całą kupę Albańczyków, którzy sprzedają haszysz, Albańczycy obstepują nas ciasnym kołem i zaczynają przyjaźnie gęgać, wyciągając co jakiś czas piąstki z zaciśniętymi w nich plastikowymi torebkami. John Lennon zachowuje się jak palant, patrzy na Albańczyków z góry, z jakiegoś powodu zaczyna

mówić do nich po angielsku, nikt go nie rozumie, wtedy zaczyna klepać ich po plecach i krzyczeć „haszysz, haszysz”, odstraszać ostatnich japońskich turystów, którzy tego marcowego wieczora nie wiadomo po co przyleźli do parku.

W końcu z gwarne go tłumu oddziela się najszybszy przedstawiciel narodu albańskiego, prowadzi nas na bok i proponuje, żeby kupić od niego dwa gramy. Uważnie mu się przyglądam. Ma na sobie wyjściowe czarne pantofle i dres. Ale sportowcem chyba nie jest.

Próbuję sobie wyobrazić, co mógłby ćwiczyć. W zasadzie mógłby być dżokejem. Ale dżokeje nie sprzedają haszyszu. Wreszcie kupujemy i mój przyjaciel John Winston Lennon, jak przystało na starego europejskiego schizola-intelektualistę, chce stertować towar na miejscu. Tu nie, patrzeć, tu nie, patrzeć, nerwowo szepcze Albańczyk, w domu, w domu, lękliwie rozgląda się na boki, chociaż otaczają go tylko jego rodacy, zresztą jeśli kogoś można się bać w tym mieście, to właśnie Albańczyków, no, może jeszcze Rosjan, jak są pijani, z drugiej strony oni zawsze są pijani. A wśród bałkańskich nielegalnych imigrantów przeciwnie - można spotkać miłych i życzliwych ludzi, zresztą i ci dilerzy, co w nich złęgo, stoją sobie - cisi i bogobojni, i co od nich dostaniesz oprócz oświadczenia, że nie wyjadą.

Ale najpierw jazz, mówi John Lennon, najpierw jazz. I przychodzimy do klubu, gdzie dziś ma występować brytyjska czy amerykańska orkiestra, w której gra dwóch

weteranów - gitara i saksofon, którzy swego czasu, jeszcze w latach siedemdziesiątych, grali ni mniej, ni więcej tylko z samym Buddym Richem, a teraz na tym żerują, jeżdżą po Europie i odwalają chałturę po klubach, kariera, kurde blat, nic tak się nie przedawnia, jak kariera, możesz wyłysieć, mogą ci wypaść zęby, wreszcie może ci po prostu nie stawać, ale jeśli nie możesz zrobić nic z własną karierą, która znika, jakby ją diabeł ogonem przykrył, to już całkiem niedobrze, rozumiesz, o czym mówię, przyszliśmy dziesięć minut przed czasem i John Lennon, mój przyjaciel John Lennon, którego imienia nie znałem, bezczelnie pchał się na bileterkę, która stała przy wejściu i stemplowała wchodzącym prawe nadgarstki, znacząc ich piętrem wesołego koloru, który potem świecił w ciemnościach sali. Ile wstęp, pyta Lennon, po dychu, odpowiada bileterka i uśmiecha się do niego, czemu tak drogo, oburza się Lennon, przecież to wspaniały zespół, znani muzycy - bileterka już się nie uśmiecha, wszystko jedno, i tak drogo, upiera się Lennon, no, dobra, myślę, zaraz go pobiją i mnie się też dostanie, ale mój przyjaciel nagle się uspokaja, odwraca się do mnie i mówi: idziemy, stój, mówię, jak to idziemy? a jazz? jazz będzie później, mówi Lennon i wychodzi na dwór.

- Dlaczego sobie poszliśmy? - pytam już na ulicy.

- Zaraz, poczekaj - mówi obrażonym głosem - pieprzeni spekulanci. Myślą, że taką kupę kasy im zapłacę za ten ich zasrany koncert. Czekaj, czekaj.

- No, to chodźmy stąd.

- Poczekaj, poczekaj - mówi - jeszcze z dziesięć minut. Idziemy się przejść.

I zaczynamy obchodzić kwartał, w którym znajduje się klub. Jeszcze raz proponuję iść stąd gdzieś indziej, ale Lennon zdecydowanie odmawia, robimy dwa kółka i wracamy pod drzwi klubu. Idziemy, mówi wojowniczo.

- Co, koncert już się zaczął? - pyta wciąż tej samej bileterki.

- Tak, już grają.

- Postanowiliśmy jednak posłuchać. Dużo straciliśmy?

- Niedużo.

- Będzie zniżka?

- Będzie - o dziwo spokojnie mówi bileterka i naprawdę sprzedaje nam bilety za pół ceny, stempluje nasze nadgarstki i idziemy błąkać się po schodach i korytarzach klubu. W sali na scenie gorący moment, w orkiestrze gra ze dwudziestu chłopów i hałas jest nielichy, bierzemy z baru piwo i zaczynamy słuchać. Okulary Lennona drapieźnie błyskają w ciemnościach.

- Chodź, zapalimy - mówię mu wreszcie, bo tak można całą noc przesiedzieć.

- Nie, nie - mówi panicznie - jakoś mi niedobrze.

- OK - drę się do niego, starając się przekrzyknąć sekcję dętą - w takim razie zaraz wracam. Nie narzygaj tu.

Zdaje się, że ostatniej frazy nie słyszy i uśmiecha się przyjacielsko, pokazując palcem w kierunku sceny, jakby chciał powiedzieć: jak mógłbym wyrzygać się w obecności całej orkiestry jazzowej.

Schodzę do toalety, jest wielka i pusta, z podłogi świecą fioletowe lampy, otwieram drzwi do kabiny, zamykam się od środka i jak zaczarowany patrzę na wielki fioletowy sedes, opuszczam klapę, siadam na niej i zaczynam robić skręta. Skądś z góry, spod sufitu, gra orkiestra, w toaletach specjalnie zamontowano głośniki, żeby można było usłyszeć wszystko, co dzieje się na scenie, no, to naprawdę po chrześcijańsku, od razu widać, że o ciebie dbają i cię lubią, i nawet jeśli na przykład siedzisz na kiblu, to i tak przyleci do ciebie dwudziestu archaniołów razem ze swoim dyrygentem i zadną w jerychońskie trąby, pomagając ci albo odciągając cię od twojego zajęcia. Orkiestra właśnie zabrała się za przeboje, starzy kumple Buddy Richa zdecydowali się udowodnić wszystkim tym smarkaczom na sali, że są naprawdę ostrymi chłopakami i umieją grać, więc namawiają się między sobą i zaczynają ku uciechu publiki słynny *Big Mac*, który zostaje tu rozpoznany, nawet ja radośnie odpływam, spowity gęstym słodkim dymem. Prawdziwej muzyki nie da się zepsuć słabym wykonaniem, to na pewno, ile lat już grają ten kawałek, w ilu śmierdzących klubach występowali, a wszystko jedno - zaczynają grać *Big Mac* i wszystko wraca na swoje miejsce, i wszyscy rozumieją, że życie to rzecz tajemna i cudowna, i nawet zbliżając się do jego lamówki, już prawie dotykając jego szczelnej zimnej powierzchni, nawet na krok nie zbliżasz się do zrozumienia, czym ono jest, dlatego że to zrozumienie istnieje nie po to, żeby objawiać się takim

palantom jak ty, ono istnieje, żeby było ci dobrze. No i siedzę tu, na tym porcelanowym fioletowym czymś, i nawet nie wyobrażam sobie, co ci wszyscy ludzie będą robić później, kiedy orkiestra zamilknie, co będzie się działo z ich sercami i duszami, i co stanie się z samymi muzykami, no, zaraz dostaną swoją kasę i zejdą do baru chlać, i ktoś na sto procent się upije, bez tego się nie obejdzie, uwierz mi, i w ogóle - może któryś z nich umrze, a trasa zakontraktowana na pół roku z góry, i jak oni będą grać ten swój *Big Mac*, i jak będzie żyć tych dziewiętnastu osieroconych męczenników, pozbawionych życia osobistego i normalnego ubezpieczenia? Tak, o tym warto pomyśleć.

Mojego przyjaciela zastałem w stanie tego samego lekkiego stuporu, w którym go zostawiłem, ale po kolejnym piwie stopniowo doszedł do siebie, zaczął po trochu ruszać rękami i nogami, powiedział kilka słów, potem w ogóle się rozgadał, potem razem wywoływaliśmy orkiestrę na bis, wywołaliśmy ich na swoje utrapienie, bo grali jeszcze ze czterdzieści minut. Wreszcie koncert się skończył i wygonili nas, biorąc od Lennona parę banknotów za sztuczony kufel, chociaż zaklinał się, że to nie on.

No, przecież rozumiesz, że nie mogłem tak po prostu porzucić go na chłodnym porannym chodniku - pijanego, ślepałego i oskubanego. Tym bardziej że do niego do domu było bliżej, a metro jeszcze nie działało. Słowem, poszliśmy do Johna Lennona. Przechodząc obok

uniwersytetu, w pachnącym marcowym mroku natknęliśmy się na naszego przyjaciela Hindusa. Nic się nie zmieniło, spał sobie spokojnie, a obok niego stał jednorazowy kubek z zimną kawą. Kubek zostawiliśmy, a Hindusa przyszło nam zabrać ze sobą.

Jest siódma rano, zaczyna padać zimny marcowy deszcz, powietrze jest gęste i świeże, próbuje się wepchnąć w otwarte okno i utyka, niezdolne wcisnąć się do mieszkania, przez ostatnią godzinę siedzieliśmy z moim przyjacielem Johnem Winstonem Lennonem w jego zasranej kuchni i czekaliśmy, aż otworzą supermarkety. Wreszcie się doczekaliśmy, więc zostawiamy naszego przyjaciela Hindusa w domu, i tak śpi, wszystko mu jedno, a sami idziemy kupić coś na śniadanie. Właściwie mógłbym pojechać do siebie, ale tam nikogo nie ma, a tutaj wprawdzie pojebane, ale zawsze towarzystwo, a weekend dopiero się zaczął, więc pojedę później, wchodzimy do supermarketu i zastanawiamy się, ile wziąć - dwadzieścia puszek czy czterdzieści, proponuję wziąć dwadzieścia, a potem przyjść jeszcze raz, John Lennon mówi, że lepiej nie ryzykować i wziąć czterdzieści, tym bardziej że na większą zgrzewkę jest rabat, w zasadzie można zaoszczędzić i kupić chleb, myśl o chlebie wydaje się słuszna, dlatego bierzemy czterdzieści puszek i wielką czarną bułkę. No, w końcu jest weekend.

Już po paru godzinach, kiedy zawzięcie piliśmy piwo

i jedliśmy bułę, zaczął się budzić Hindus. Wreszcie się obudził, obejrzał nas, spróbował zorientować się, gdzie jest, ale oczywiście mu się nie udało i w ogóle widać było, jak żałuje, że się obudził i zobaczył całą tę szopkę, wyobrazasz sobie, budzisz się po jakichś tam tabletkach w cudzym, nieznanym ci mieszkaniu, a naprzeciwko siedzi John Lennon z szalonym spojrzeniem i nieznanymi zamiarami, naprawdę trzeba być Hindusem, żeby nie spanikować, nasz Hindus jednak odzyskuje przytomność i zaczyna z nami pić i rozmawiać o pogodzie, John Lennon zgadza się z nim, tak, mówi, gówniana pogoda, ale było gorzej, w ogóle była zima, ja, mówi, nie lubię zimy, i to ostatecznie uspokaja Hindusa, no rzeczywiście, pomyśl, John Lennon nie lubi zimy, i co z tego. Gdzieś koło południa zmęczenie daje się we znaki i zaczynamy zasypiać po prostu w kuchni, John Lennon zasypia pierwszy na fotelu, obok cicho pociąga nosem Hindus, no i ja też zasypiam w kącie na małej kanapie i zdążam pomyśleć, że dziwnie jest, zima niby się skończyła, a i tak nic innego się nie zaczęło, i tak co roku, rozumiesz, co mam na myśli, co roku po zimie powinno zacząć się coś innego, a zamiast tego nie zaczyna się nic, ciągle pada śnieg, ciągle zimno, ciągle szukasz miejsca, żeby się ogrzać, a jak znajdziesz, długo nie wychodzisz na dwór, starając się odpędzić wszystkich i wszystko, z aniołami włącznie.

Po południu, kiedy się obudziliśmy i John Lennon



opowiadał o swoich studiach na wydziale prawa, Hindus zaczął marudzić. Przespał się, było mu niedobrze i żądał, żeby go odnieść z powrotem albo kupić mu tabletki. Może naprawdę odniesiemy starego na miejsce? - pytam Johna Lennona, nie da rady, na dni wolne zamykają uniwersytet, zostawimy go na ławce, mówię, nie, odpowiada Lennon, tak nie można, spadł śnieg, zamarznie. Patrę na czekoladową fizys Hindusa, która podeszła już ciemnoniebieskim sińcem, i rozumiem, że naprawdę może zamarznąć. No to nie trzeba było go w ogóle zabierać, mówię rozdrażniony, ale Lennon wypija jeszcze jedno piwo i mówi, że to nie problem, że zaraz skoczmy na dworzec i załatwimy dla naszego przyjaciela tabletki, i tak miałem zamiar dzisiaj tam zajść, mówi, tam spotykają się moi przyjaciele; i tak nie mamy co robić, zaczynamy się zbierać, tym bardziej że trzeba kupić coś do jedzenia, bo bułka się skończyła, a z innych rzeczy John Lennon miał tylko keczup.

Na Dworcu Południowym miasta Wiednia jest taka spelunka. Zbierają się tu twardziele, nie ma wśród nich emigrantów, w ogóle - sami swoi, wóda jest tania, a policja lojalna, nic więc dziwnego, że John Lennon w tej knajpie jest swojakiem. Od razu zamówił wódkę i zagadał z jakimiś żułami, ci żule też oczywiście byli tu swoimi chłopakami, wesóło klepali Johna Lennona po ramieniu, mówili wszelkie świństwa na rząd i parlament, w ogóle wykazywali dziwne jak na żuli polityczne

zaangażowanie, John Lennon zamówił dla siebie i dla mnie jeszcze jedną wódkę, wypił ją i zdaje się, w ogóle zapomniał, po co tu przyszliśmy, żule też nie wiedzieli, czego on od nich chce, dlatego zamówili sobie jeszcze po wódce i zgodnie wypili. Potem nagle zwrócili na mnie uwagę i zapytali, skąd jestem, odpowiedziałem, co zostało przyjęte pochwalnym pomrukiem i zamówieniem następnej wódki. Wypiłem z żulami za ich zdrowie i szepnąłem do Lennona, słuchaj, przyjacielu, idziemy do domu, tam Hindus nienakarmiony, Lennon wyszedł z lotu pikującego, zogniskował swój pogardliwy wzrok, odciągnął na bok jednego żula i zaczął z nim coś obgadywać. Po kilku minutach wrócił zadowolony i uśmiechnięty, i głośno oświadczył, że musimy spadać. Żule przyjęli oświadczenie z entuzjazmem, jednak pojawiła się nowa wódka, wygłoszono toast za socjaldemokrację i wyszliśmy w ciemność, odprowadzani pożegnalnymi okrzykami rozczulonych żuli. Po drodze John Lennon śpiewał, wykrzykiwał hasła polityczne, zaczepiał taksówkarzy i zawierał znajomości z napotkanymi rosyjskimi prostytutkami.

Hindus zżarł tabletki, które mu przynieśliśmy, i znowu zasnął. Pomyślałem, że jeśli komuś dobrze żyje się na świecie, to właśnie Hindusom, John Lennon był pijany, ja w zasadzie też, chodził po swoim zapuszczonym mieszkaniu i śpiewał, już wcześniej przybiegała do nas stara sąsiadka z dołu, zdaje się, nienawidziła Lennona, bo

przybiegła, jak tylko zaczął śpiewać, chyba już wiedząc, jak to się wszystko dla niej skończy, Lennon wpuścił ją do mieszkania, wbiegła do kuchni, zaczęła pokrzykiwać, ale zobaczyła ciemnobrunatnego Hindusa w sinym odcieniu i wyszła przestraszona. John Lennon jeszcze jakiś czas śpiewał, potem poszedł do łazienki i zamilkł. Do rana nie było go słychać. Znalazłem swoją kanapę i szybko zasnąłem. Tej nocy nic mi się nie śniło.

Rano Hindus obudził się pierwszy i zaczął energicznie szukać jakiegokolwiek pożywienia, żeby się wzmocnić, znalazł keczup, wtedy też się obudziłem, patrzę, na środku kuchni stoi Hindus i obraca w dłoniach keczup, co, pytam, lubisz keczup? lubię, mówi Hindus, a jest coś jeszcze? nie, nie ma, wczoraj wszystko się skończyło, Hindus odstawił keczup na miejsce i wziął się za piwo, poszedłem do łazienki. Była zamknięta od wewnątrz. Zapukałem. Za drzwiami coś się poruszyło i niebawem drzwi otworzył John Lennon, który, zdaje się, tu spał, cześć, mówię mu, tam się Hindus obudził, chce jeść, ja też nie odmówiłbym śniadania, dodaję, John Lennon wyglądał okropnie, zdaje się, że się tu wczoraj przewrócił, zresztą, wszyscy wyglądaliśmy nie najlepiej. Postanawiamy znaleźć najbliższy fast food, a naszego czekoladowego przyjaciela znowu zostawiamy na gospodarstwie, obiecując, że przyniesiemy mu coś smacznego.

Fast food był dwie przecznice od domu Lennona, Turcy już pracują, w maleńkiej kawiarence siedzi kilku

smutnych emigrantów, leci turecki etno-pop i w ogóle wszystko jest cudowne, nawet poranny mokry śnieg, który pada na schody. Zamawiamy jakieś jedzenie, zaczynamy to wszystko ospale przeżuwać, wypijamy jeszcze po piwie i wtedy Lennon zaczyna kłócić się ze starym Turkiem, który siedzi przy sąsiednim stoliku. Na początku po prostu zaczyna mówić o Kurdach, potem w jego głosie pojawiają się oskarżycielskie nutki, szybko się upija i nie zauważa tej granicy, której nie warto było przekraczać. Turek długo udaje, że nie rozumie po niemiecku, potem, kiedy mój przyjaciel traci resztki ostrożności i sumienia, nie wytrzymuje i wyrzuca go na ulicę. Biegnę go podnieść.

Wiesz, w życiu często bywają sceny na tyle nieżyciowe, że nie wiesz, jak się zachować, nie chodzi o to, że takie sceny nie mogłyby się wydarzyć, mogłyby, oczywiście, po prostu wyglądają na tyle głupio, że nawet gadać się o nich nie chce. Pewnego mokrego marcowego poranka na zaśnieżonym bruku pod fast foodem leży koleś, z wyglądu podobny do zmarłego, świeć Panie nad jego duszą, Johna Lennona, a obok niego walają się okrągłe okulary, teraz takie same, jak te na plakacie upamiętniającym prawdziwego Johna Lennona - pęknięte szkło i kropelki krwi, tylko ta krew była z nosa mojego przyjaciela, tak jakby szalony Mark David Chapman w odległym 1980 roku nie zastrzelił biednego Johna Winstona, a obił mu mordę na oczach skośnookiej malarki-konceptualistki Yoko Ono. Tutaj zamiast

skośnookiej Yoko Ono byłem ja, więc podniosłem mojego przyjaciela i zaciągnąłem go do domu. Tę bitwę przegraliśmy i nie było co dłużej gadać z Turkami.

Trzeciego dnia, w poniedziałek rano, zgodnie z prawami biologii, Hindus zaczął śmierdzieć. Przez całą niedzielę to odzyskiwał przytomność, to, wypijając kolejne piwo, znowu zapadał w beztroski sen, piwo płynęło wraz z weekendem, John Lennon siedział w kuchni ze zbitym ryjem, cały dzień próbowałem wyjść na zewnątrz i pojechać do domu, ale brakowało mi siły i odwagi. Z Hindusem trzeba było coś zrobić. Dzisiaj poniedziałek, mówi John Lennon, może odwieziemy go na uniwersytet? jak go odwieziemy? pytam, przecież on śmierdzi, ale tu go zostawić też nie można, nalega Lennon, mam sąsiadów; i bierzemy naszego małego czekoladowego przyjaciela pod rękę, i z obrzydzeniem ciągniemy do metra, przywozimy pod mury uniwersytetu, kładziemy na jego ulubionej ławce i szybko uciekamy, żeby nikt nas o nic nie podejrzewał.

- No co - dokąd teraz? - pytam.

- Nie wiem - odpowiada Lennon - pójdę kupić sobie coś do jedzenia. Spieszysz się? Chodźmy razem.

I dalej wlokę się za nim, wchodzimy do jednego supermarketu, potem do drugiego. John Lennon nic nie kupuje, a kiedy chcę jechać do domu, obraża się i prosi, żeby wejść z nim do następnego sklepu, widać po prostu nie chciał zostać sam, może było mu niedobrze,

wyobrażasz sobie, tak przemieszcza się przez życie, sam nie wiedząc, po co, a tu taka okazja poprzemieszczać się z kimś jeszcze, w zasadzie go rozumiałem, potem zaciąga mnie do wielkiego sklepu muzycznego i znajduje tam nagrania Buddy Richa, ogląda, mówi, *Big Mac*, tu jest *Big Mac*, musimy to wziąć, prawie nie mam pieniędzy, mówię, to nic, mówi John Lennon, ukradniemy, i niepostrzeżenie zrywa z płyty folię z kodem paskowym, i wkłada płytę do kieszeni. A ty co, zidiociałeś, mówię, tu wszędzie są kamery, to nic, nie bój się, śmieje się, co znaczy nie bój się, mówię, tobie nic nie zrobią - dadzą jeszcze raz po łbie, to ci nawet nie zaszkodzi, a mnie po prostu wyrzucą z waszego kraju i więcej nigdy nie wpuszczą! Ty konformisto, obraża się, spierdalaj, odpowiadam i idę szybko do wyjścia. Poczekaj, krzyczy mi w plecy, biegnie za mną do kasy, ale tutaj jego płyta zaczyna piszczeć, może tam było jeszcze jakieś zabezpieczenie, którego nie zauważył, zatrzymuje się i zaczyna zdziwionym wzrokiem rozglądać się dookoła, jakby mówił, kurde, co jest, to ja dzwonię, w jego kierunku rusza ochroniarz, ale ja już wybiegam na zewnątrz i idę do metra, palant, po prostu palant, jakimi kretynami Bóg napętnia stare dobre europejskie miasta, z kim przychodzi się zadawać, w ogóle co my mamy wspólnego, ja i ten John Winston Lennon, oprócz Big Maca oczywiście, OK, *Big Mac* naprawdę łączy wiele rzeczy w tym zmiennym życiu, kto z nas zresztą może powiedzieć, że ani razu nie nakaszanił, los sprytnie

ustawia swoje pułapki, spróbuj w nie nie wpaść, jeśli zdołasz, tłuczesz się, tłuczesz się z dnia na dzień i możesz tylko zachwycać się dziwnymi zamysłami niebios, wszystkimi tymi fortelami i naukami, wszystkimi, w końcu, stworzeniami, jak choćby John Lennon, niekiepski zresztą chłopak, jakby jeszcze nie ściągał sobie na dupę tyłu nieprzyjemności, no ale taka już jego karma, to już taka karma...

Wsiadam do metra i jadę do domu, po czterodniowym przybywaniu z przyjaciółmi chce mi się spać i jeść, szczególnie chce mi się spać, dlatego zasypiam i budzę się nad Dunajem, dawno przejechałem swoją stację. Do domu nie chce mi się wracać, dlatego wychodzę na ulicę i trafiam do wielkiego na kilka kwartałów centrum handlowego, znajduję tam olbrzymie kino z dwudziestoma salami, wyskrobuję resztki pieniędzy i kupuję bilet na jakiś film animowany dla dzieci. Błąkam się korytarzami, znajduję wreszcie swoją salę dziewiętnastą, w której siedzi samotna emerytka, siadam w pierwszym rzędzie i od razu zasypiam.

Czasami wydaje mi się, że tracę większość swojego czasu na niepotrzebne kontakty z nieciekawymi dla mnie ludźmi. Rzeczy nie zawsze wydają mi się konieczne, a wydarzenia i uczynki uzasadnione, często myślisz: po co to wszystko, widzisz, nie zawsze wystarcza mi cierpliwości, żeby zebrać do kupy wszystko, co się ze

mną dzieje, wtedy po prostu czekam, kiedy wszystko samo zbierze się do kupy, zazwyczaj tak się dzieje, życie to naprawdę prosta rzecz, płyniesz sobie po prostu tą rzeką, starając się nikogo nie utopić, płyniesz sobie, wpatrując się w przejrzyste wody i czasami, kiedy patrzysz uważniej, naprawdę może ci się wydawać, że widzisz, co jest tam - na dnie, chociaż tak naprawdę tam nic nie ma.

Obudziła mnie emerytka, która oglądała film razem ze mną, młodzieńcze, mówi, wstawaj, film już się skończył, i kieruje się do wyjścia, dziękuję, wołam za nią i myślę, co robić dalej, rozglądam się po pustej sali i widzę obok ekranu jeszcze jedno wyjście, a skoro nikt mnie nie pilnuje, wychodzę przez nie.

Za drzwiami są schody, oczywiście to jakieś wyjście ewakuacyjne, jest tu zupełnie pusto i nie całkiem czysto, myślę, żeby wrócić do sali, ale potem postanawiam zejść tymi schodami, wszystko jedno, nawet jak kogoś tu spotkam, to powiem, że zabłądziłem, postanawiam i idę na dół. Piętro niżej obok metalowych drzwi stoi

krzesło, leży na nim błyszczący magazyn pornograficzny i wielki telefon komórkowy w skórzanym futerale, pewnie przesiaduje tu ochroniarz, a teraz gdzieś wyszedł, może się odlać, zaraz wróci, zastanie mnie tu i da po łbie, jak jakiemuś Johnowi Lennonowi, myślę i przypomniawszy sobie Lennona, szybko podchodzę do krzesła, chwytam telefon, zbiegam schodami na dół,



znajduję szerokie drzwi, popycham je i znajduję się na ulicy.

Po pięciu minutach, kiedy już siedziałem na ławce w pobliżu centrum handlowego, zadzwonił telefon.

- Kim pan jest? - pyta głos.

- A pan?

- Właścicielem telefonu.

- Bardzo mi miło - mówię. - O co chodzi?

- Proszę oddać mój telefon!

- Wie pan - mówię - boję się, że pan mnie wyda policji.

Proszę sobie kupić nowy telefon. A ten wyrzucę.

- Gdzie?

- No, nie wiem. Chyba do śmietnika.

- Mój telefon - do śmietnika? Kurwa! - zdaje się, że właściciel telefonu się obraził.

Wyłączyłem telefon, podszedłem do najbliższego kosza na śmieci i wrzuciłem go tam. Potem wróciłem do centrum handlowego, z piętnaście minut powłóczyłem się koło wystaw i poszedłem do metra. Przechodzę jeszcze raz koło śmietnika, słyszę - telefon dalej dzwoni. Dziwne, wyobrażasz sobie - rano, słońce wyszło zza chmur, dookoła snują się jacyś ludzie, nikt nie zważa na ten pieprzony telefon, rozumiesz, początkowo nawet zapomniałem, że to ja go tam wrzuciłem, idę sobie ulicą, nagle ze śmietnika zaczyna dzwonić telefon. Nawet początkowo pomyślałem - czy nikt nie podniesie słuchawki, wyobrażasz to sobie?

## Balnescu Quartet

...dlatego rzygam do umywalki. Dookoła kłębią się słoneczne plamy i ranek przenika każdą szparą międzynarodowego ekspresu relacji Budapeszt-Paryż, do którego wsiadłem godzinę temu i z którego mam zamiar wyleźć za godzinę, oczywiście jeśli nie umrę tutaj, w kiblu, nie zachłysnę się wymiocinami, jeśli mnie nie wciągnie ten straszliwy lej klozetu, który pompuje powietrze i wsysa w siebie wszystko co żywe w promieniu dwóch metrów, w tę błyszczącą niklową dziurę, z której słycać odgłosy piekła i która przeraża mnie na tyle, że nawet rzygać tam nie mogę; no i zawisłem na umywalce, starając się coś zrobić ze swoją świadomością, ze swoim nadwyreżowanym zdrowiem i utraconą koordynacją w porannej przestrzeni, potem unoszę głowę, widzę własne odbicie i znowu mnie rusza. Dobrze, że z nerwami wszystko u mnie w porządku, wyobrażam sobie, co byłoby tu ze mną, gdybym był jakimś niezrównoważonym pojebem ze skłonnością do

histerii i paranoi, rozniosłoby mnie tu na kawałki od zbyt wielkiego napięcia i rozpaczy, a tak wszystko ekstra i bez narzekań znoszę twarde warunki współczesnej egzystencji, dlatego że mogę traktować siebie z odpowiednim dystansem, co pomaga mi przeżyć nieproste chwile mojego życia, grunt to nie patrzeć na siebie w lustrze, nie zauważać tego niklowego leja i nie myśleć o alkoholu - myślę i szybko schylam się nad umywalką. Jeszcze godzinę, przesiedzieć tutaj, nigdzie nie wychodzić, z nikim nie rozmawiać, żadnych „dzień dobry”, „>co to za stacja” i tym podobnych prowokacyjnych pytań, i tak wszystko świetnie, pasażerowie, jeśli ich nie obudziłem, śpią sobie na swoich zarezerwowanych miejscach do Salzburga, Monachium i dalej, aż do Paryża, nic im do tego niespokojnego obywatela, który zamknął się pół godziny temu w toalecie i uparcie nie chce wracać na swoje miejsce. Wszystko dobrze, przyjaciele, wszystko dobrze, śpijcie sobie w wagonach, gdzie nie można palić, śpijcie, śnijcie spokojne sny o wieprzowinie bez cholesterolu i wielkanocnych przecenach szparagów, kto jak kto, ale ja wam przeszkadzać nie będę - jeszcze godzinę, dociągnąć do Linzu, zwlec się na zimny, jeszcze nie do końca ogrzany przez słońce poranny peron, znaleźć komitet organizacyjny, wziąć kasę, wprowadzić się do hotelu, wleźć w butach do dwuosobowego aseptycznego łóżka i pomyślnie umrzeć, przynajmniej do szóstej wieczorem.

Wiele rzeczy w tym życiu uczysz się traktować jeśli

nie heroicznie, to w każdym razie ze zrozumieniem i bez hysterii. Jeśli już wieczorem zaczynasz pić, napełniasz swój schorowany organizm różnym gównem, mieszasz je w żołądku, to bądź gotów na to, że rano twój organizm powie ci wszystko, co o tobie myśli, z drugiej strony, nie wierzę, że ktokolwiek, upijając się wieczorem jak szpadel, sądzi, że następnego dnia rano obudzi się w doskonałym humorze, z dobrym apetytem i chęcią do pracy, wszystko to takie imitowanie wielkich namiętności i wstrząsów, społeczeństwu brakuje po prostu ducha tragizmu, no i ludzie chleją, i to w jakich ilościach, że aż czasem się zastanawiam - to tylko wśród moich przyjaciół jest tylu alkoholików czy alkoholików jest w ogóle dużo...

Mój starszy przyjaciel i kolega Berni, znany literaturoznawca, kurator kilku literackich scen Wiednia, były hipis i aktywista, obecnie spokojny, prawie łysy koleś, razem z którym pracujemy nad przekładami, wychodzi z wagonu metra i rozgląda się, w którą stronę powinien wyjść. Podchodzi do niego już dobrze nakręcony wszelkimi stymulatorami strapiony skinhead z niewidzącym spojrzeniem, smutno drapie ręką swój łysy czerep i prosi nosowym głosem o kasę, żeby mógł kupić sobie coś do jedzenia. Berni jako zacięty bojownik ze znienawidzonym faszystowskim reżimem, od którego już nie raz dostał, grzebie po kieszeniach, ale nic nie znajduje i mówi skinheadowi, że, niby, bracie, wybaczone, nie mam drobnych, kiedy indziej podejdź, skinhead rozumie to

dosłownie, jego głowa już nie działa, odwraca się, zachodzi na peron, pytając jeszcze kilku obywateli Republiki Austrii, czy mogą mu jakoś pomóc, nie mogą, i skin pomyślnie wraca do Berniego, który w tym czasie nawet nie zdążył podpalić papierosa, przepraszam, mówi skin tym samym nosowym głosem, niech pan wspomóż, chociaż trochę drobnych, Berni zaczyna się wkurwiać na tego młodego człowieka, ale dobre serce jeszcze raz bierze w nim górę, i klepie kolesia po skórzanej kurtce, hej, mówi mu, chłopcze, pomyliłeś się, dałbym ci, ale nie mam drobnych, no - chcesz papierosa? skin zabiera zdobycz i szura dalej po peronie, dochodzi do drugiego końca i rozwijając szyki, drapieźnie knuje przeciwko biednemu Berniemu, który wciąż jeszcze nie zdążył opuścić tego miejsca, skin po raz trzeci zaczyna ocierać się o niego i sępić drobne, Berni, któremu już przez kilka minut nie dają spokojnie zapalić, wreszcie nie wytrzymuje, cały jego wrodzony i przez lata pielęgnowany humanizm kruszy się i rozpada w oczach, wiesz co? mówi skinowi, może jesteś fajny chłopak, ale spierdalaj - nie mam drobnych! nie mam ich, rozumiesz?! nie mam! Berni wnerwia się, wyrzuca przypalonego papierosa, kopie z czuba plastikowe krzesło pod ścianą i głośno klnąc, wyskakuje na powierzchnię, gdzie czekam na niego już dziesięć minut.

Zszedłszy wieczorem ciężkiego sobotniego dnia z pokładu na brzeg, przejąwszy się pomysłem, żeby,

powiedzmy, nawalić się, nie omijając żadnego mniej więcej przyzwoitego miejsca, nagle rozumiesz, że możliwości nie ma tak znowu wiele - albo poleźć do jakiegoś pubu i słuchać irlandzkiego ludowego karaoke, albo wbić się do jakiegoś baru, gdzie bywają Rosjanie, i słuchać - wybaczyć, Panie - emigracyjnego szansonu, czy - co gorsza - zabijającej na miejscu kalinki-malinki, albo, wreszcie, znaleźć coś lokalnego i po prostu porzygać się z powodu samego ducha starego dobrego naddunajskiego imperium, który wciąż nijak nie może wywietrzeć z kawiarenek i sklepików z tytoniem. Zatem, trzeba dobrze pomyśleć, zanim weźmie się coś pod uwagę w tym mieście, gdzie, które to już dziesięciolecie, ostateczne zwycięstwo świętują japońscy brokerzy i perscy imigranci, radości tu niewiele i jest rzetelnie dozowana przez jakiegoś apostoła, odpowiedzialnego za sektor kultury masowej w zjednoczonej Europie. Potem nieraz starałem się sobie przypomnieć - czym właściwie zajmowaliśmy się w tym czasie, gdzie byliśmy, z kim się widywaliśmy i co nas zachwycało w tych kilku miejscach aktywnej komunikacji międzyludzkiej. Przypominało mi się ciężko, wszystkie wrażenia sprowadzały się do kilku rodzajów miejscowego piwa, do dwóch czy trzech całodobowych sklepów z alkoholem, do facjat kilku kolesi, którzy sprzedawali nam haszysz, słowem, nie tak znowu wiele; Berni, o ile wiem, żyje tak przez ostatnie trzydzieści lat, ale chyba mu się to nie podoba, wątpliwe, żeby ludziom zadowolonym z życia tak odpierdalało, nie

tłuką po pijaku witryn na ulicach, nie wyklócają się z policjantami po wieczorach poezji, nie śpią na ławkach w parku po tym, jak zasiedzieli się w kawiarni z jakimiś kretyńskimi wydawcami, a właśnie to charakteryzuje mojego starszego przyjaciela i kolegę, właśnie tak zwykle melanżuje, zaczynając z reguły w piątek-sobotę i kończąc, kiedy bóg da.

Na dworze koniec maja, cudowna pogoda, nie pada i w studenckim miasteczku, gdzie mieszkają moi dobrzy znajomi, studenci teologii, odbywa się wielka feta, takie po prostu bardzo wielkie coroczne zbiegowisko, w nocy z soboty na niedzielę, no i już się nie kończy, zdaje się, nigdy, czyli oczywiście się kończy, ale przynajmniej przez kilka dni wszędzie w tej okolicy w powietrzu stoi gęsty opar wody, zapach wymiocin i legalizacji, który nieświadoma miejscowa młodzież odbiera jako ducha sprzeciwu. Organizatorzy wieczoru, przedstawiciele organizacji studenckich i kilku młodzieżowych radykalnie lewicowych partii, przez cały wczorajszy dzień zwozili beczki z piwem, montowali wojskowe ekologiczne kible polowe, rozwieszali na okolicznych drzewach kolorowe proporce i girlandy, już gdzieś przed dziesiątą-jedenastą wieczorem beczki są puste, zapchane niedopałkami kible przeciekają, proporce kalecznie zwisają z gałęzi, jak chiński makaron, to jasne, że z Bernim trafiamy tutaj właśnie w takiej chwili, już po kalince-malince i irlandzkich pieśniach partyzanckich, on ma tu dobrych znajomych, ja mam tu dobrych

znajomych, jednym słowem, jesteście mile widziani, można nawet powiedzieć, że to być może jedyne miejsce w tym kraju, gdzie jesteście mile widziani, więc naprzód i nie zatrzymywać się, i tak nas pozbawili najniezbędniejszego, co nam zostawili? - jakie takie prawa obywatelskie, kupę pojebów, którzy chcą się nami opiekować, masę pojebów w prasie i w telewizji, sprzedane wybory, śmierdzące ruchy polityczne, jeśli nie interesujesz się showbiznesem i makroekonomią, uważają cię po prostu za symulanta i dezertera, który stanowi bezpośrednie zagrożenie dla społeczeństwa, tak że najlepszy sposób rozwiązania wszystkich twoich problemów - to zaciągnąć cię do jakiegoś biura, żeby dać ci kredyt na jakiś po grzyba ci potrzebny dom z wielkim trawnikiem, który będziesz przez pół życia spłacał, żeby do głowy nie przychodziła ci różna chujnia, teolodzy dobrze rozumieją takie rzeczy, może dlatego tak gorzko zalewają się dumpingowanym piwem i tequilą rozlewana w kraju, uświadamiają sobie, że tak naprawdę wybierać nie ma z czego - albo pozostać przez całe dorosłe życie teologiem, albo pójść błędną drogą takich sobie kolesiów jak Berni i do końca dni swoich wlec się od supermarketu do supermarketu w poszukiwaniu taniej wody i teologicznej prawdy. Jeśli nie utknę w tej gęstej i lepkiej teologicznej masie, która kłębi się dookoła ocalałych beczek z piwem, i jeśli mnie nie wdepczą w gówno i trawę brudne teologiczne adidasy, wydostanę się na ląd i patrząc na wszystko z boku, będę się mógł uspokoić i coś



wypić, a tam i Berni się znajdzie - tak sobie mówiłem tej nocy, wyłażąc na małą górkę, która sterczała obok teologicznych bachanali, w końcu naprawdę dostaję się na górkę i znajduję tam przyjaciela Janisa, znajomego Litwina, który pisze pracę o mistykach i ma się niebawem bronić, i Janis prowadzi mnie do studenckiego klubu w sąsiednim budynku, gdzie szykuje się do występu miejscowa grupa Sierp i Młot, takie austriackie punki, które naoglądały się w dzieciństwie hollywoodzkich superprodukcji o KGB i Gorbaczowie, i opacznie je zrozumieli, dlatego całą swoją, można by powiedzieć, twórczość poświęcili pamięci byłego imperium zła, dla nich była to, można powiedzieć, romantyka, i tak jak, przykładowo, w Sajuzie istnieją kowbojskie grupy country, tak i oni śpiewają ruskiego rocka z wiedeńskim akcentem, noszą jakieś własnoręcznie uszyte bobrowe czapki i kupione w militarystycznych sklepach skórzane buty, romantyka, ich mać, zapomnieli koleżkowie marszałka Żukowa, on by im pokazał ruski rock i Pożegnanie Słowianki, przygotowania do występu polegają na hojnym rozdawaniu wody na wejściu wszystkim chętnym, chętnych jest coraz więcej, trafiliśmy akurat w porę, muzycy wreszcie wybierają się na scenę, niespiesznie biorą do rąk instrumenty, ich wokalista (he he, wokalista) włącza mikrofon i, robiąc wściekłą minę, wykrzykuje: „Gorbaczow! Smirnoff? Chuj!”, tu jego zasoby słownikowe szczęśliwie się kończą i zaczyna się muzyka. Wódki więcej nie nalewają.

...mogło być potem. Potem mogły być dwie godziny najohydniejszych dźwięków, krańcowo splugawionych za pomocą elektrycznej aparatury, wszelkimi przesterami i przystawkami, potem mogły zacząć się prawdziwe kontakty, kiedy darmowe napoje się kończą, a zatrzymać się nikt już nie może, a przede wszystkim - nie chce, oto w tym momencie chytry podstępny wąż-diabeł wpełza pod barem za szynkwas pomiędzy pękate matowe butelki i stamtąd chytrze puszcza oko do wszystkich obecnych, jakby podszeptował: dawajcie, koleś, melanzujcie, lejcie na wszystko, teolodzy, nie zatrzymujcie się, w żadnym razie się nie zatrzymujcie, bo to się dla was bardzo źle skończy, słyszycie, jak kaszanią ci durnie w glanach z cielaka? te pieprzone austriackie punki, które myślą, że złapały swojego pieprzonego boga za nogi, słyszycie, jak rzeżą ich paczki? jeśli się teraz zatrzymacie, to rzeżenie będzie trwało wiecznie, zostanie w waszych głowach i nie będzie z was żadnych teologów, z was nawet ekonomistów nie będzie, będziecie pełzać jak ślimaki od supermarketu do supermarketu, kupując ciepłe piwo w puszkach - szepcze podstępnym głosem ten diabelski demon i wszyscy go słuchają, i nawalają się, i wszystko jeszcze trwa, aż ten sam wokalista (he he) nie wytrzyma i potykając się o jakieś druty, leci prosto w salę pod nogi teologom i makroekonomistom, co odebrane zostaje jak wezwanie do bratania się na tym niemieckim froncie chronicznego alkoholizmu, podchodzę do muzyków i szybko się zapoznajemy, i

rozmawiamy o pogodzie, showbiznesie i studenckiej solidarności, i obiecuję zrobić im koncert u siebie w ojczyźnie, mówię, że spodoba im się tam, po ulicach chodzą prawdziwi żywi kagiebiści, można ich nawet dotknąć, jeśli ma się na to ochotę, niektórzy - przekonuję ich - ciągle się tym zajmują, muzycy drą na sobie mundury z rekwizytorni, dobre chłopaki, wymieniamy się adresami, wizytówkami i numerami kart kredytowych, i objając się o siebie, wychodzimy z klubu, ciągnąc za sobą ich sprzęt. Gitarzysta, którego imienia nie mogę zapamiętać, za dużo w nim „sz” i „cz”, prowadzi mnie dalej, teraz, mówi, pojedziemy do mojego brata, ma dzisiaj święto, i chcemy go pozdrowić, i ty pojedziesz z nami - mamy jedno wolne miejsce, i brzmi to tak, jakby proponowali mi ostatnie - przypadkiem zachowane - wolne miejsce na ceremonię odpuszczenia grzechów przez papieża, więc odmawiać jest po prostu niedorzecznością, i wszyscy przebijamy się przez kilkutyśięczny tłum wesołego ludu z piecami, gitarami i wokalistą na ramionach, taki ciężki marszobieg przez tłum teologów i makroekonomistów, gdzieś z boku zaczyna się rząd podtopionych ekologicznych kibli, z pierwszego słycać odgłosy rzygania, kogoś rwie, i tylko po ułomnych i ledwie słyszalnych wibracjach rozpoznaję głos Berniego - swojego przyjaciela i nauczyciela, dla którego ta wojna trzydziestoletnia nijak nie może się skończyć...

Na czym polega przewaga takich właśnie spontanicznie improwizowanych znajomości nad trwałymi i przyzwoitymi kontaktami z przyjaciółmi? Ich przewaga polega na tym, że są szczerze, otwarte i niezobowiązujące. Możesz wciskać swojemu nowemu znajomemu cokolwiek - o swoim dzieciństwie, o przyjaciółkach paralitykach, o sąsiadach wampirach, on odpowie ci tą samą monetą, obiecaćie sobie wzajemnie złote góry dalszych kontaktów, wiecznej przyjaźni i obustronnego twórczego partnerstwa, będziecie stawiać sobie nawzajem alkohol i dzielić się ostatnim buchem dobrej podalpejskiej gandzi, będziecie chodzić pod nieznajome adresy, zapoznacie się z jakimiś pojebami, którzy, jak okaże się potem, są dawnymi znajomymi któregoś z was, albo i kuzynami, będziecie śpiewać ulubione już w dzieciństwie niemiecko-faszystowskie marszowe pieśni, krzyczyć z balkonu różne obrzydlistwa, zaczniecie czepiać się transwestytów obok postoju taksówek i dacie, koniec końców, jednemu z nich w mordę, znajdziecie o trzeciej w nocy tani bar i spróbujecie kupić od barmanki kokainę, a kiedy was wyrzucą, nawet nie będziecie wiedzieli, za co, jadąc w przepelnionym nieznajomymi kolesiami volkswagenie z jednej imprezy na inną, skutecznie zgubicie się w dzielnicy, którą naprawdę dobrze znacie, i zaczniecie żałośnie krążyć wokół tego samego kwartału budynków, dziwiąc się i oburzając na monotonię architektury tego miasta i to, jak podobne do siebie są te wszystkie budynki, że niczego nie

można znaleźć, że nic nie można poradzić, i już gdzieś po czwartej ktoś z was skapuje się, że jest już taka godzina i chce się spać, i znajdziecie automat z colą, kupicie kilka butelek tego chłodnego płynu i zaczniecie chciwie go żłopać i chłeptać, przypominając pod ciepłym gwiezdny niebem swoje imiona. Przewaga polega na tym, że później nie przyjdzie wam tłumaczyć się wzajemnie z ataków agresji czy schizofrenii, nie trzeba będzie wyjaśniać swojej skłonności do trunkwilizatorów i powtarzać wczorajszych obiecanek, których już nikt z was nie będzie pamiętać. Coraz częściej myślę, że takie powinny być idealne stosunki międzyludzkie, i że rozchodząc się rano do domów z głowami pełnymi szczęścia, najlepiej po prostu rozstrzeliwać nowych przyjaciół, bo największa wartość kontaktów międzyludzkich polega właśnie na spontaniczności i niepowtarzalności naszej egzystencji.

O piątej rano coś przypomniało mi o moich obowiązkach wobec społeczeństwa i sumienia, właściwie raczej wobec sumienia, ale wobec społeczeństwa też. Zaczynała się niedziela i właśnie w tę niedzielę przed południem powinienem dostać się do Linzu, gdzie właśnie dziś zaczyna się wielki festiwal muzyczny i gdzie, oprócz wszystkiego innego, miało się odbyć czytanie wierszy, na które, oprócz wszystkich innych, zaproszono i mnie. Dziwne, że sobie o tym przypomniałem, nie zapomniałem, poprosiłem moich

nowych znajomych, żeby zawieźli mnie do domu, skoro do pociągu zostało jeszcze ze dwie godziny, a musiałem się jeszcze pozbierać, moi przyjaciele długo nie wierzyli, że naprawdę gdzieś muszę jechać, potem, kiedy zrozumieli, że chodzi ogólnie o jakiś wielki festiwal muzyczny, postanowili jechać razem ze mną, ale w jakiś sposób udało mi się ich zniechęcić, i zgodzili się po prostu odwieźć mnie do domu, pomóc się spakować, a potem podrzucić na dworzec i wsadzić do pociągu.

Długo stałem w swoim pokoju i nijak nie mogłem zdecydować, co powinienem wziąć. Co bierze się zazwyczaj na wielki festiwal muzyczny?

- Słuchaj - mówi mój nowy przyjaciel gitarzysta - a co ty będziesz tam robić?

- Nie wiem - mówię - chyba czytać wiersze.

- To weź ze sobą szczoteczkę do zębów - mówi - i maszynkę do golenia. Ale lepiej nie elektryczną. Masz nielektryczną maszynkę do golenia?

- Mam - mówię.

- No to weź ją. I weź coś do jedzenia na drogę. Weź konserwy. Masz konserwy?

- A co - w Linzu są problemy z konserwami?

- Dzisiaj niedziela. Dzisiaj wszyscy mają problemy z konserwami, bo sklepy są nieczynne. Nie pójdziesz chyba zreć do jakiejś burżujskiej restauracji?

- Nie - waham się - może nie pójde. W ogóle nie chce mi się jeść.

- No to weź konserwy. Ale noża nie bierz. Bo będziesz

potem wyjaśniać policji, po co ci nóż na festiwalu muzycznym.

- No dobra - mówię - jak w takim razie otworzę te zasrane konserwy?

- Zapytasz w hotelu. Dadzą ci przecież pokój w hotelu?

- Chyba dadzą.

- No i tam znajdziesz nóż. Dawaj, zbieraj się, czasu mało, a musimy jeszcze się napić.

Biorę kurtkę, wkładam do kieszeni szczoteczkę do zębów, patrzę na maszynkę do golenia i waham się, potem przypominam sobie o policji i postanawiam nie brać, otwieram lodówkę i wyjmuję stamtąd wszystkie konserwy, które mam, znajduję kraby i jeszcze jakieś owoce morza, upycham to wszystko po kieszeniach i idziemy na dworzec. Zresztą, wszystkie te historie z mojego życia, które mogę zapamiętać i opowiedzieć, sprowadzają się do kilku temu podobnych wariantów, kiedy koniecznie w którymś momencie ktoś idzie na dworzec. Początkowo myślałem, że jest to jakoś powiązane z przemieszczaniem się z miejsca na miejsce, ale potem zrozumiałem, że naprawdę chodzi raczej o poszukiwanie uniwersalnego centrum komunikacji, jakim, bez wątpienia, jest każdy dworzec, o potrzebę jakiegoś przyjaznego z natury miejsca, trafiając do którego, obywatele pobłażają sobie i zanika ich socjalna aktywność i agresja, czymś takim dworzec jest, przyjmuje na siebie funkcję jakiegoś takiego czyścica, czy co, gdzie

jeszcze, jeśli nie na dworcu, można w święto zaprawić się alkoholem? Nigdzie. No, może na stacji benzynowej...

I już po siódmej rano znajdujemy nasz ekspres, Budapeszt-Paryż, i pamiętam, że grunt to nie przejechać stacji i na czas z tego pociągu wyleźć, chociaż tak naprawdę jeszcze do niego nie wsiadłem. Idziemy peronem, znajdujemy moją drugą klasę, znajdujemy dla mnie miejsce, przyjaciele zaczynają się ze mną żegnać, i stan mamy taki, że nawet kontroler, chociaż to nie jego psia sprawa, nie wytrzymuje i pyta mnie: pan naprawdę jedzie? No, pewnie, odpowiadam mu, szukam dla pewności swojego biletu, wyciągam z kieszeni kraby w puszcze, daję na chwilę konduktorowi do potrzymania, wyjmuję bilet, ściskam go w zębach i, zabrawszy kraby, wsiadam, jeśli można to tak nazwać, do swojej drugiej klasy, znajduję tam moje wolne miejsce i od razu zasypiam. Równo za pół godziny obudzę się i stanę oko w oko ze swoim straszliwym syndromem kacowo-depresyjnym, ale póki co jest mi dobrze i przytulnie, i konserwowe kraby w puszkach miękko chlupią wąsami i ogonami, i macą kleszczami ciepły pomidorowy sos...

W Linzu miałem wystąpić na otwarciu festiwalu i następnego dnia pomyślnie wrócić do domu. Zwałem się na peron i poszedłem szukać jakiejś komunikacji. Dworzec był pusty, wszystkie sklepy i kioski zamknięte, tego nie było w moich planach, bo suszyło mnie i



roznosiło, i trzeba było coś z tym zrobić. No dobra, trzeba znaleźć komitet organizacyjny i poprosić ich o jakąś mineralną albo jakieś pigułki od bólu głowy, powiedzieć im, że mam chorobę morską, że wybujało mnie w paryskim ekspresie, no, rozumiecie, niepewnie się czuję w podróży, głowa trzeszczy, nerki też z jakiegoś powodu ćmia, straszna, wiecie, droga, straszny ekspres, no, rozumiecie, po prostu jakiś refrigerator, wyobrażacie to sobie, oni to nazywają paryskim ekspresem, w tych pociągach zawsze na wszystkim oszczędzają, żadnego serwisu, ale to nic, do występu wydobrzeję, wszystko będzie dobrze, parę godzin poleżę w wannie z ciepłą wodą, macie tu wannę z ciepłą wodą? wezmę jakiegokolwiek pigułki na alergię, a propos, gdzie można tu kupić piwo? co? nie, to na wieczór, rozumiem - macie wielki muzyczny festiwal, a propos, macie nóż? w barze, w ekspresie, kupiłem kilka puszek konserwowych krabów, lubię, wiecie, na śniadanie zeżreć jedną czy dwie puszki tych zdechłych morskich zwierząt, no to jak - macie nóż? Albo chociaż maszynkę do golenia. Ale nie elektryczną.

...długo szukałem komitetu organizacyjnego. Po pierwsze nogi mnie nie słuchały i chodziło się ciężko. Po drugie skorzystać z usług, powiedzmy, tramwaju, nie mogłem, bo sama nazwa „komunikacja publiczna” wywoływała we mnie spazmy. Po trzecie, nie wiedziałem, dokąd powinienem jechać, dlatego po prostu

poszedłem w kierunku centrum. Linz to niewielkie miasteczko, więc od dworca do centrum idzie się jakieś dwadzieścia minut, no, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich tam się znalazłem, czterdzieści pięć, w każdym razie doszedłem, czym, oczywiście, porządnie zadziwiłem wszystkie te demony, które leciały za mną od samego Wiednia, gęsto posypując moją głowę rozpaczą i boleścią. Komitet organizacyjny mieścił się na centralnym placu, po biurze snuło się kilka młodych kobiet, za nimi widać było bar, maleńką zabudowaną kuchnię z mikrofalówką, a w kącie stała cała skrzynka wody mineralnej. Zrozumiałem, że demony się wycofały, ale nie wiedziałem, czy na długo.

Szybko i bez zbędnych pytań wydano mi program, kupę reklamowych bookletów, klucz do pokoju w hotelu »Ratusz« i butelkę mineralnej. Do zobaczenia wieczorem, powiedzieli, proszę się nie spóźnić, będzie dużo ludzi, intelektualistów, urzędników, turystów, turyści specjalnie przyjeżdżają co roku na otwarcie naszego festiwalu, na pewno panu też się spodoba, proszę odpocząć, może pan pospacerować po mieście, ale bardzo proszę nie spóźnić się - powtarzają. Noża nie dali.

No i z wielkimi moralnymi trudnościami i zupełnie wykończony, dopijając po drodze moją wodę, znajduję hotel i szybko się wprowadzam. I zaczyna się najgorsze, co tylko mogło się zacząć - w pokoju nie ma wanny. Jest, co prawda, prysznic, ale teraz nawet nie mogę sobie

wyobrazić, co miałbym z nim robić. Mam całe pięć godzin, żeby z godnością przyjąć wszystkie zgryzoty i próby, które zsyła nam zazwyczaj opatrność, pewnie, demony już ulokowały się na krytym szkłem balkonie i szyderczo się śmieją, przyglądając się, jak mnie tu wykręca - w cichym miasteczku, na piątym piętrze centralnego miejskiego hotelu, o pierwszej po południu, w kurtce i w adidasach pod ciepłą kołdrą. Telepie i łamie cię, wyciska z ciebie wszystko dobre, co w sobie miałeś, jeśli w ogóle miałeś w sobie coś dobrego, przenikając cię tysiącami ostrych lodowych wkrętów, które wkręcają się w twoją świadomość, zmuszając ją, by unosiła się nad dachami i drzewami, i potem ostro spadała, boleśnie tłukąc łopatkami o parkiet, życie w każdym razie pozostaje gdzieś obok, tak że wszystkie machinacje twoją świadomością, które wydają się z bliska ważkie i pełne znaczeń, tak naprawdę zapomina się bardzo szybko, i zawsze we właściwym czasie, czyli właśnie wtedy, kiedy ich czas mija. Trzeba po prostu pobyc w złym stanie, a potem zacznie się smuga światła, dzisiaj o szóstej występ, potem na placu ma się odbyć wielki koncert, na którym wystąpi Balanescu Quartet na czele ze starym Balanescu, który też się tu przywłókł, właściwie to ja się tu przywlokłem, a na starego Balanescu wszyscy tu czekają, o - i na booklecie jego pysk umieścili, i w Komitecie organizacyjnym o nim wspominali, i wannę raczej ma w łazience, współczesny świat rozdzierają potworne sprzeczności, ci burżuje rzucają jak przynętę dwie, trzy

ulgi i zniżki ze swojego stołu takim kolesiom, którzy przyjeżdżają na ich debilne festiwale, rzucają, jakby usprawiedliwiali przed kimś ten cały chaos, który nazywa się społeczeństwem obywatelskim, i nie ma co gadać o państwowych dotacjach i zwolnieniach z podatków, to wszystko wielki ideologiczny chuj, zaproponowany przez szarych inżynierów naszej cywilizacji, i trzeba być ostatnim półgłówkiem, żeby przyjmować to wszystko na wiarę i starać się grać według ich reguł, mnie na takie sztuczki nie nabiorą, myślę, otulając się watowaną kołdrą, nie, kolesie, nie, oszukujcie waszego Balanescu razem z jego kwartetem, jestem zbyt leniwy, żeby wam się przeciwstawić, no i doleżę sobie do szóstej, pobędę na waszym otwarciu, dostanę swoją porcję programu kulturalnego i tyle mnie tu widzieliście - mówię dalej z oburzeniem i na tym zasypiam.

...za dwadzieścia szósta w tej samej pozycji i w tym samym nastroju. Diabli nadali, wciąż jakieś problemy, wszystko nie tak, nijak nie mogę skupić się na najważniejszym, czyli na tym, co mam robić i gdzie. W ciągu następnych piętnastu minut doprowadzam się do pionu, zębów umyć się nie udaje, więc porzucam ten zamysł, wsuwam pod kołdrę konserwy i dokładnie za pięć szósta wychodzę z pokoju. W komitecie organizacyjnym wszyscy witają mnie z udawaną radością i szczerze się dziwią, że w ogóle przyszedłem i prawie się nie spóźniłem, bardzo dobrze, mówią mi, zaraz będzie

występ, oprócz pana będzie jeszcze kilku miejscowych autorów i jeden stary poeta z Polski, wie pan, o czym pan powie? - pyta mnie dziewczyna z zielonymi włosami, tak, mówię jej i z przestachem patrzę na jej zieleń, o czym? - nie uspokaja się, rozumie pani, mówię, będę czytać wiersze, a co tu miało być? no, mówi, będziemy rozmawiać o dialogu pomiędzy Wschodem i Zachodem, o integracji, o syntezie mentalności, dobrze? dobrze, mówię jej, dobrze, macie piwo? później, później, szczebiocze i wprowadza mnie przez tylne drzwi do sali, gdzie siedzi kupa jakiegoś luda i kilku poetów, którzy zamierzają rozmawiać o Wschodzie i Zachodzie, z boku siedzi stary Polak, popatrzyłem na niego i wszystko zrozumiałem - możliwe, że jechaliśmy w sąsiednich wagonach, w tym momencie jeśli od czegoś był najdalej, to od syntezy mentalności, a także od Wschodu, nie mówiąc już o Zachodzie.

To taka wielka sala przy urzędzie miejskim, krzesła można wnosić i wnosić, tak że jeśli by się miało ochotę, można tu urządzać cokolwiek, na przykład turniej kręgli, ściany są mocne, sufit gdzieś daleko w górze, chociaż na wysokości około czterech metrów wisi wąski mostek - od ściany do ściany - a poza tym sala jak sala, i całe to nudziarstwo trwa już parę godzin i nijak się nie kończy, zresztą dlaczego miałyby się kończyć, ludzie niecierpliwą się i chcą usłyszeć najważniejsze, a ja rozumiem, że już przeżyłem najkrwawsze dzisiejsze minuty, dalej wszystko pójdzie już ku lepszemu, jak to

mówią, przyjaciele, jeśli przeżyliście, jeśli nie zmiażdżyły was żarna tego weekendu, to zachowujcie się jak należy, trzymajcie się swoich partytur, mówcie o swojej pieprzonej syntezie mentalności; moja zielonowłosa znajoma odpowiada za tę żenadę, mówi więcej niż pozostali i podoba jej się to, już dwa razy wychodziłem do kuchni, znajdując tam koniec końców piwo, tak że też zaczyna mi się podobać, a na sam koniec panienka mówi, chcę teraz oddać głos naszemu gościowi, który przyjechał do nas z dalekiego Wschodu, aha, z *Samarkandy*, kurde, jeśli już rozmawiamy o dialogu pomiędzy Wschodem i Zachodem, dobrze byłoby usłyszeć coś także ze Wschodu, *no, naturalnie, stary Polak gównu wam powiedział, co byście nie robili, on - jak dotąd - siedzi sobie i w ogóle nic nie czai, leje na waszą mentalność*, jak pan widzi perspektywy dialogu? *mgliście widzę, dupa blada*, dobrze, mówię do mikrofonu, dobrze widzę, dziękuję, mówię, to bardzo ciekawe i właśnie dlatego... ale niech pan słucha, nie może się uspokoić, powinien pan zrozumieć, *twoja mać*, że tylko pełnowartościowy dialog może sprzyjać rozwiązaniu tego problemu, słusznie, mówię, i to pozytywnemu rozwiązaniu (z sali słycać oklaski, niektórzy się uśmiechają), czy odczuwalne jest, mówiąc nie o panu konkretnie, a o środowisku, w którym pan żyje, że dojrzała prawdziwie natychmiastowa potrzeba podobnego dialogu? Chwileczkę, odpowiadam, przegięła, spróbujmy spojrzeć na to z innej strony (Polak odwraca głowę na prawo, ale napotyka wzrokiem zieloną

czuprynę i wyłącza się ze smutkiem) - a pan, pan jest gotowy na taką rozmowę? (szmer zainteresowania rozchodzi się po sali), proszę poczekać, przecież mówimy o pana gotowości! Wiecie, mówię, wytrzymując pauzę, naprawdę to nie jest aż tak skomplikowane, po prostu musimy określić priorytety i te wektory, od których zamierzamy się odciąć, dlatego że pani, mała (Polak ożywia się), mówi o syntezie mentalności, a jakie to w dupę mentalności, *tak, tak, dobrze powiedziałem - jakie w dupę mentalności*, kiedy tak naprawdę powinno chodzić o te straszliwe sprzeczności, które nas rozdierają (liberalnie nastawiona część publiki energicznie reaguje), co ma pan na myśli? - pyta zielonowłosa, *kurde blat*, żebym to ja wiedział, ja, powiedzmy, poznałem wczoraj waszych muzyków, którzy nazywają się Sierp i Młot, to znaczy to nie jest jakichś dwóch braci mutantów - Sierp i Młot, tak naprawdę jest ich wielu, i grają taką, wiecie, muzykę ze słowiańskim smrodkiem (Polak rechocze obrzydliwie), chwileczkę! - krzyczy panienka, ale to pojedynczy przypadek! To nie takie istotne - mówię jej, rzecz w czymś innym, *o czym to ja?* myślicie, że to sierp i młot? to gówno, drodzy przyjaciele, gówno! (jakieś sześć osób z tylnych rzędów wstaje i demonstracyjnie wychodzi. Ale reszta zgadza się ze mną. Polak, co ważne, też). Dziękuję, stara się wtrącić panienka, jedną chwilkę, przerywam jej, *czemu tak biednego Polaka męczycie?* jedną chwilkę, chciałbym jeszcze powiedzieć o marszałku Żukowie (zapada cisza. Polak głośno beka. Sala śmieje się

wesoło i po tym radosnym akcencie prowadząca ogłasza koniec spotkania). Uśmiecham się z zadowoleniem i podnoszę głowę - w górze, z prawej strony przerzuconego nad nami mostka, otwierają się drzwi, wychodzi z nich sprzątaczką w niebieskim uniformie z wielkim mopem, zamyka za sobą drzwi i ciężko stąpając nad otchłanią, powoli przechodzi przez mostek, dźwięcznie tupiąc w nagle milczącej sali, wszyscy ci niedojebani intelektualści i intelektualistki, pracownicy ratusza, turyści i honorowi obywatele miasta Linz, skupieni i oczarowani patrzą w górę, na mostek, po którym pewnie i jakoś nieobecnie przechodzi sprzątaczką ze swoim strasznym i nierealnym mopem - niczym archanioł, który zdążył zstąpić z niebios na otwarcie wielkiego muzycznego festiwalu, żeby skopać tyłki wszystkim palantom, którzy nie odpowiadają wysokim bożym standardom...

- Dziękuję, bardzo piękne było pana wystąpienie.
- Dziękuję, że mnie zaprosiliście.
- Wie pan, dla nas to takie interesujące. My przecież o was nic nie wiemy.
- My też.
- Tylko nie zrozumiałam tego o marszałku Żukowie.
- Chciałem tym zakończyć.
- Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Proszę tu podpisać, proszę bardzo.

Zabieram swoją uczciwie wywalczoną od światowego



kapitału kasę i z czystym sumieniem idę na plac słuchać Balanescu. Ale starego jeszcze nie ma, zamiast niego jest wielka scena na placu, wypełnionym zaangażowanymi w sztukę mieszkańcami Linzu, występuje słoweński zespół hip-hopowy o jakiejś dziwnej nazwie, coś na kształt Presley-Jackson, co oni tam sobie w tej Słowenii myślą, jest ich na scenie z pięciu chłopów i śpiewają coś antyglobalistycznego z elementami słowiańskiego hurapatriotyzmu, groźnie wykrzykując wszelkie antykapitalistyczne hasła, słowem, korzystają z tego, że nikt ich nie rozumie. Publika jest nimi zachwycona, obok mnie stoi grupa mężczyzn i energicznie obgaduje słoweńskich hip-hopowców, mówią, ach, ci Słowianie, ach, bestie, a oni przypadkiem nie są gejami? Nie, odpowiada ktoś z boku, przecież to Słowianie, u Słowian homoseksualizm jest zabroniony, u Słowian za homoseksualizm wyrzucają z partii - wszyscy kiwają głowami ze współczuciem i zastanawiają się, o jaką partię chodzi.

...kończyło się ich występem, tak jak to było zaanonsowane w bookletach. Sam Balanescu przypominał starego kryminalistę-właściciela strzelnicy w jakimś rumuńskim albo serbskim Parku Kultury i Wypoczynku, na wielkiej ogolonej głowie miał czarny kapelusz, pod szeroką gangsterską marynarką chował skrzypce i sprawiał wrażenie stabilnego i witalnego, jak przystało wszelkim porządnym właścicielom strzelnic.

Balanescu Quartet grał world music z elementami jakiegoś kosmopolitycznego folka, robili to głośno i w natchnieniu, wywołując aplauz publiczności, poszedłem za scenę i postanowiłem poznać osobiście starego, ale ktoś mnie zawołał. Obejrzałem się. Obok stał polski poeta i rozglądając się na wszystkie strony, prosił, żebym podszedł, cicho, cicho, przyjacielu, patrz, nie zwracaj uwagi na tych degeneratów, zobacz, jak oni z nami, tylko dać im wolność, chodźmy, mówi mi, tu sztuki nie ma, smutek i pokora, ginąca cywilizacja, chłopcze, kontynuuje w barze, stracone złudzenia, ciężkie życiowe doświadczenie, jakby powtarzał mi jakieś wcześniejsze konspekty, ja, mówi, mam ci wiele do powiedzenia, za znajomość, mówi, za znajomość - podtrzymuję toast, po pierwsze - zapija sprite'm - spodobało mi się twoje wystąpienie, dziękuję - też zapijam sprite'm - wszystko pan zrozumiał? Chłopcze - koleś pobłażliwie, ale jednocześnie przychylnie się uśmiecha - strzelałem do tych sukinsynów jeszcze w czterdziestym piątym, rozumiesz? Znał pan Miłosza? - pytam na wszelki wypadek, znałem - mówi, wypijając, jak - uściślam - osobiście? osobiście - nie, ale wiesz - zamawia po trzecim - jest trzech wielkich poetów: po pierwsze - Walt Whitman... a dalej? - pytam, co? - podnosi głowę, jeszcze kto? - pytam, Walt Whitman, Walt Whitman - mówi, zapijając sprite'm swój trzeci, byłem raz w waszym kraju - zdaje się, zmienił temat, w czterdziestym trzecim? - dopytuję się - nie zwraca na mnie uwagi - poznałem

wtedy wielu waszych poetów, fantastyczni ludzie, uwierzysz? nie wiem, co oni tam piszą, ale wyobrażasz sobie, poili mnie czystym spirytusem, fantastycznie, wiesz - pyta dalej - że od spirytusu wielu ludzi umiera? ludzie umierają od technicznego spirytusu, odpowiadam, a od zwykłego? a od zwykłego żyją - mówię - zresztą i techniczny spirytus... wie pan, myślę, że ludzie, pijąc techniczny spirytus, umierają od samej nazwy „spirytus techniczny” - jest w tym coś fatalnego...

...najgorsze jest to, co zrobiliście z kinem i telewizją. Jak byście się nie maskowali i nie zamulali ludzi, zresztą wszystko jedno, i tak potem będą mówić - to oni, ci producenci i magnaci telewizyjni, którzy zmienili naszą, nie taką znowu złą cywilizację, w kupę ideologicznego gówna i masowej imitacji. Możecie wypuszczać ile zechcecie swojej kontrpropagandy, którą, rzecz jasna, też sami wymyśliliście, mówić w tak zwanej progresywnej prasie i niezależnych stacjach radiowych o totalnej telewizyjnej kontroli, o przerabianiu ludzi na zombi, tworzeniu informacyjnych refleksów i tym podobnych pojebstwach, oczywiście w dalszym ciągu większość zdeorientowanego społeczeństwa będzie iść na wasze posrane układy i zgodnie z nimi dzielić się na dobrych i złych, poprawnych i niepoprawnych, słowem, brać udział w waszych zawodach o przeżycie. Ale rzecz w tym - i wy sami o tym dobrze wiecie - że można po prostu zrezygnować z uczestnictwa, zrezygnować i koniec -

wyłączyć swoje pudło, wysłać w pizdu listonosza i nie odpowiadać na wezwania, co prawda, mało kto z takiej możliwości korzysta, to już, bez wątpienia, wasza zasługa, rezultat waszego zasiewu, ile tego wszystkiego nawymyślaliście, cała ta wasza bojowa terminologia, wymyślone przez was terminy i pojęcia: „konformizm”, „nonkonformizm”, „alternatywa”, „subkultura” - rozlewacie to gównu ze swoich szlauchów i, co najsmutniejsze, kupa ludzi się nabiera, heroiczne podlotki starają się stawiać opór, walczą, organizują podziemie, nawet nie zauważając, że dżungle, z których starają się wyrwać, zrobione są z najlepszej sztucznej gumy, zabezpieczonej substancją przeciwpożarową. Dobra, naprawdę wiele mogę zarzucić tej cywilizacji, i to bez żadnej złości, po prostu tak - dla wymiany informacji, można powiedzieć, ale nie ja jestem problemem, daleki jestem od tego, czym się zajmujecie, nawet programu telewizyjnego nigdy nie czytam i jestem z tego dumny, może i nie ma z czego, ale zawsze. Po prostu nie podoba mi się patos, z jakim to wszystko robicie, po co ta cała pompatyczność, kiedy zaczynacie, na przykład, mówić o straconych pokoleniach albo rewolucjach w sztuce. Jakie stracone pokolenia? Dla mnie w waszych działaniach brakuje cynizmu, wszystkie te smarki, które rozcierają po policzkach bojownicy o wolność od reżimu i niesprawiedliwości, tak jakby ktoś z nich naprawdę miał zamiar coś zmienić, nie dopracowujecie tego, otwarcie nie dopracowujecie, barykady zbudowane przez was w

studiach filmowych, inscenizowana walka pomiędzy porządkiem i buntownictwem, zaplanowane i opłacone przez was na wiele lat do przodu pokoleniowe, religijne i etniczne konflikty, wszystkie te robocze kawałki wielkiej mydlanej sagi, której bezskutecznie staracie się nadać cechy epopei i tragedii - naprawdę nie wciągają, nie trzymają przed ekranem. Chałturzycie i sądzę, że kiedyś zaprowadzi was to, koniec końców, w ślepą uliczkę. Dlatego że, no pomyślcie sami - ile może istnieć boysbandów na głowę, ile rodzajów proszków do prania potrzeba człowiekowi, ile kryminalnych informacji można przyswoić przez dobę? Wszystko jest ograniczone, ograniczone przede wszystkim fizycznymi możliwościami współczesnego człowieka, które - i to też wicie lepiej niż ja - są dosyć skromne: zdrowie współczesnego człowieka jest nadwyreżone przez fast food i bezpieczny seks - wymyślony przez was, żeby odciągnąć proletariata od walki klas - takiego zdrowia nie starczy. I najgorsze jest to, że dla was skończy się to najwyżej finansowym bankructwem i szybką sprzedażą akcji waszych wielkich amerykańskich korporacji z szarej strefy, w które zamieniliście naszą ogólnie dosyć sympatyczną cywilizację. Kto szczerze będzie opłakiwać zagładę wszystkich producentów telewizyjnych razem wziętych? Naprawdę - nikt. Nie ma w was silnych zdrowych uczuć, normalnej witalności; cała stworzona przez was sieć programów telewizyjnych nieuchronnie traci swoją aktualność i niezbedność, jeśli jej co tydzień

nie aktualizujecie. Dla mnie znacznie ciekawiej jest po prostu nie mieć do czynienia z waszymi bohaterami, niezależnie od tego, o co walczą - o stabilność na giełdach czy zwycięstwo ekumenizmu, tworzyście ich według jakichś skautowskich zasad, wszystkich tych koleś - zjebanych śledzeniem giełdowych krachów, przedwcześnie postarzałych ekonomistów z jednej strony i udających, że są rozbici przez społeczne napięcia i socjalną nieadekwatność szpanerskich nonkonformistów - z drugiej; wszyscy grają w swoje wojenne podchody, starając się jakoś zdobyć zieloną flagę przeciwnika, ale kiedy ją znajdują, maksimum tego, co mogą zrobić - to przegrupować się, przeprowadzić konieczne zmiany składu osobowego i znowu ganiać po lasach, usprawiedliwiając swoje surowe skautowskie przeznaczenie. Zadawanie się z waszym targetem po prostu ciąży, te dzieci są po prostu przygniecione ideologią i propagandą - na przykład kiedy palą jointy, nie palą ich tak po prostu, oni manifestują pewną społeczną postawę, twoja mać, i z nimi trzeba się liczyć; kiedy słuchają muzyki, koniecznie wiążą z tym jakąś ideologiczną koncepcję; mówią mi, przecież, koleś - za wszystkim, co ty mówisz, też stoi pewna ideologia, za tym też coś stoi i osobiście nie mam argumentów, a przede wszystkim - ochoty, żeby przekonać ich do czegoś przeciwnego. Tak czy tak, zawsze łatwiej było mi nic nie wyjaśniać, niż korzystać z wymyślonej, też przez was, terminologii, dlatego nie lubię, kiedy w zwykłym,

powiedzmy, alkoholizmie czy zwykłym, powiedzmy, nieprzystosowaniu ktoś widzi gest i znak, niesłusznie, jak dla mnie, a jeśli słusznie, to i tak debilnie. Gdybym mógł, zbudowałbym jakąś idealną Chińską Republikę Ludową, tak żeby były Chiny, ale bez pedała Mao, żeby tam nie było żadnych boysbandów, self-made manów, middle class, intelektualistów i undergroundu, zamiast tego - proste uczucia, proste relacje, seks bez prezerwatyw, ekonomia bez globalizmu, parlament bez Zielonych, Cerkiew bez Patriarchatu Moskiewskiego, a najważniejsze - żadnej kablówki...

- Mister Balanescu?

- Tak, słucham pana.

- Widziałem dzisiaj pana występ na placu.

- Mieszka pan w tym hotelu?

- Tak, dzisiaj też uczestniczyłem w tym otwarciu.

- Pan śpiewa?

- Tak. Ale słabo. Rzecz nie w tym, chciałem po prostu pana poznać.

Trzeba mu coś powiedzieć, opowiedzieć jakąś historię. Na przykład dowcip, jakiś etniczny, powinien być Rumunem albo Cyganem, mamy z nimi wiele wspólnego, powinien rozumieć nasz humor, jakikolwiek dowcip, na przykład o Żydach, a jeśli on sam jest Żydem? jeśli żaden z niego Balanescu, jeśli to nazwisko żony, a on przyjął je, żeby ukryć się przed nazistami i urzędem podatkowym, wszystko jedno, muszę skorzystać z tej

możliwości, potem będę pluć sobie w brodę, jest wielkim muzykiem, tacy ludzie jak on zawsze wiedzą trochę więcej niż inni, muzycy tylko wyglądają na takich zahamowanych, a w środku mają dziwne i nietypowe myślowe kombinacje, trzeba, żeby się rozgadał, może to moja szansa w tym życiu, może dzięki niemu to życie zaraz w ogóle się odmieni, przynajmniej może coś *zasugerować, pokazać* coś takiego, co już dłuższy czas jest gdzieś obok, ale ja nijak nie mogę tego dostrzec, a on - Balanescu - mógłby coś *podpowiedzieć*, nie na darmo spotkałem go tu, na schodach przed hotelem, o drugiej w nocy, z kartonem ekologicznego mleka w dłoniach.

- Może się napijemy?

- Nie, ja nie piję. Wie pan, wiek już nie ten i zdrowie. Ja piję mleko.

- A skąd je pan wziął o drugiej w nocy? (co ja gadam?)

- Przywieźliśmy ze sobą z Anglii.

- Nie było problemów z celnikami? Przecież mogło się zepsuć.

- Nie, co pan - w lodzie wieźliśmy.

- To i lód wozicie ze sobą?

- Tak, pewnie.

- Ale to przecież drogo!

- Wie pan, w kontrakcie to jeden z punktów, taki warunek: bierzemy ze sobą tę żywność, która jest nam potrzebna, a organizatorzy za to płacą.

- I bierzecie ze sobą mleko?

- Tak.



- Świetnie.

Paranoja. Czego ja od niego chcę? Stoi sobie człowiek, pije ekologiczne mleko, przywiezione specjalnie z Anglii, a tu czepiają się go różne palanty. Tak, dowcip, dowcip o Żydach, a potem *sugestia*.

- Wie pan, przepraszam, że pytam o takie rzeczy, po prostu to ciekawe, niech pan powie - reszta kwartetu, no, pana koledzy, oni co - też... tylko mleko?

- Czemu pan pyta?

- Przepraszam, oczywiście, nie chciałem pana obrazić, po prostu...

- Nie, reszta bierze narkotyki, jeśli pana to interesuje.

- Przepraszam, zupełnie nie o to...

- Ale ja dawno rzuciłem. Pan co - nie wierzy?

- Wierzę.

- To naprawdę *tylko* mleko.

- Ja panu wierzę, mister Balanescu.

- Mam kwit z lotniska.

- Nie potrzebuję kwitu, mister Balanescu.

- W takim razie czego panu trzeba?

- Niech pan powie, mister Balanescu... pan... jak by to powiedzieć... pan - wierzy w Boga?

- Nie.

- Dlaczego?

- Dlatego że jestem ateistą.

- Religia pana rozczarowała?

- Nie, zawsze byłem ateistą.

- I w dzieciństwie?

- I w dzieciństwie.

- A pana rodzice?

- Moi rodzice byli katolikami.

- Jasne... Niech pan powie, jednak, jak pan sądzi - Bóg istnieje?

- Nie istnieje - kategorycznie powiedział Balanescu i napił się z kartonu.

Zdaje się, że się na mnie obraził. Może jednak jest Żydem i nie trzeba mu opowiadać żadnych dowcipów. Zresztą nie znam żadnych dowcipów. Trzeba zapytać go wprost, w innym wypadku wróci do pokoju, a ja tu zostanę ze swoim problemami.

- Niech pan powie, a to mlek...

- Posłuchaj, człowieku - zdenerwował się Balanescu - chętnie bym się z tobą podzielił tym mlekiem, naprawdę panu nie żałuję...

- Nie żałuje pan?

- ...nie żałuję, ale proszę zrozumieć - mam już swoje lata, przeżyłem jak mogłem to nikczemne życie, coś tam widziałem, przyjrzałem się światu, no i nawet mówię po niemiecku, nie mam żadnych uprzedzeń, jeśli chodzi o ludzi, niech tam, nawet emigrantów, ale nie mogę panu oddać mojego mleka. Po prostu dlatego, że mam zapalenie dziąseł, gniją mi po prostu, o, pan patrzy - zadziera palcem górną wargę - pan patrzy, po prostu boję się, że pan złapie to świństwo.

- Zapalenie dziąseł... - wyszeptalem z wrazenia.

- Tak, zapalenie. Szczerze, nie żałuję panu. Chce pan,

postawię panu piwo w barze?

- Zapalenie dziąseł... - powtórzyłem w osłupieniu.

- Ale to nie jest śmiertelna choroba, proszę się o mnie nie martwić - Balanescu poklepał mnie po ramieniu.

- Boże, tu nie chodzi o pana! - byłem po prostu zdruzgotany.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tak, dziękuję, mister Balanescu. Dobrej nocy.

- Pamięta pan numer pokoju?

- Tak, oczywiście... Zapalenie dziąseł...

- Jaki pan ma?

- 510.

- A ja 511.

- Jesteśmy sąsiadami...

- Tak, spotkamy się rano na śniadaniu.

- Tak, tak, dziękuję.

- Do widzenia.

Na nogach z waty dobiegam do windy, wjeżdżam do siebie do pokoju i wychodzę na balkon. Do diabła, po co on mi to powiedział. Traktowałem go jak Boga, a teraz co? Zgniłe dziąsła. Czułem, że robi mi się niedobrze. Co ja tu, do cholery, robię, dlaczego nie pojechałem wieczornym pociągiem? Spałbym sobie w przedziale, bez całej tej nędzy. Po co mi to - zapalenie dziąseł. Co to może być? Jak człowiek może tak zepsuć swój wizerunek. Zresztą, sam jestem sobie winien - *sugestia, sugestia*, co dobrego może zasugerować koleś, który ma zapalenie dziąseł? Co będzie, jak mi się przyśni z tymi swoimi

dziąsłami? Toż można umrzeć ze współczucia.

Wróciłem do pokoju. Z korytarza słychać było kroki i drzwi do sąsiedniego pokoju otworzyły się. Pewnie Mister Zgniłe Dziąsła wrócił do domu. Jakoś tam łązi, coś tam robi, przestawia jakieś rzeczy, potem wchodzi do łazienki, czemu tu taka akustyka? puszcza wodę i zaczyna się myć. Woda dźwięcznie uderza o jego szerokie plecy i spływa do plastikowego brodzika. Znaczy, wanny nie ma. Ja tego nie przeżyję.

...czekać do rana, wyszukując w TV stare hollywoodzkie westerny, albo zejść do baru i poprosić o mleko, albo spróbować zasnąć, nie wiem nawet, co lepsze. Cicha, cicha noc, którą można oglądać wprost z balkonu, zimna, zimna, zimna woda, która cieknie z kranów, kilka godzin ciemności, kilku znajomych w tym niewielkim hotelu, których można będzie jeszcze raz spotkać na śniadaniu, cudowna wycieczka, fantastyczne życie, radosne głosy aniołów w windzie i sprzątaczek na schodach - wyłączam wszystkie światła, zakręcam krany, rzucam pod fotel pilota od telewizora i padam na swoje, wypełnione przerażeniem, lękami i krabowymi konserwami, ciepłe dwuosobowe łóżko.

## Terytorialne wody jej wanny

Anna-Maria siedzi w swojej wannie po brzegi napełnionej wodą, napuściła ciepłej wody, siedzi teraz, coś sobie myśli, ręką robi fale i słucha radia, które wisi na skórzanym pasku zaraz nad gęstą pianą; ona tak zawsze - obudzi się jakoś po południu, napuści wody i pływa jak skumbria, nawet telefon przyciągnęła do łazienki, zawsze jest mokry, kopie prądem i iskrzy, rozmawiać z nią przez telefon - niewielka przyjemność, ciągle wykrzykuje jakieś przekleństwa, bluzga, kiedy kopie ją prąd, ale nie milknie. Teraz nieostrożnie się obraca i z głową zanurza w gęstych nieprzejrzystych wodach, tracąc jakikolwiek kontakt z zewnętrznym światem, tylko ręka ze słuchawką sterczy nad falami.

Od czasu do czasu wynurza się z głębin i myśli o życiu, przygląda się jakiemuś detalowi swojego ciała od góry do dołu, na przykład paznokciom u nóg pomalowanym różowym lakierem, mama już w dzieciństwie nauczyła ją - jugosłowiańską dziewczynkę -

że trzeba zawsze malować paznokcie u rąk i nóg, możesz nie lubić kraju, w którym mieszkasz, mówiła, ale paznokcie mają być zawsze pomalowane, w innym wypadku będzie to jeszcze jedno ustępstwo z twojej strony, w naszych czasach, dodawała, i w naszym kraju to i tak jeszcze mało, dzieciно - malować paznokcie u nóg, nie zapominaj o tym; Anna-Maria nie zapomniała i od małego chodziła z pomalowanymi paznokciami, czym wielce dziwiła wychowawczynie w przedszkolu. Miała zawsze piękne kształtne stopy i kiedy w trzeciej albo czwartej klasie ciągnęli ją na miejskie zawody lekkoatletyczne, działacze sportowi z ministerstwa, którzy mieli dokładnie doglądać zawodów, po kilka razy podchodzili do ich drużyny i z nieskrywanym stronnictwem, czyli lejąc na wszystkie zasady ruchu olimpijskiego i fair play, i ignorując drużyny innych belgradzkich szkół, schylali się nad Anną-Marią, troskliwie i nieco nerwowo macali jej kończyny, mówiąc: tu nie boli? pytali, a tu? a wyżej? kiedy pan nie naciska - nie boli, odpowiadała trochę speszona dziewczynka, uważaj na siebie, mówili działacze i ocierali pot, jesteś naszą nadzieją, dodawali, myśląc o sobie, Anna-Maria uważała, mimo to sportsmenką nie została, kiedyś na treningu naciągnęła sobie ścięgno, odeszła od wielkiego sportu i pozbawiła działaczy tak ważnej dla nich, może, rzeczy, jak nadzieja.

Teraz cieszy się sama sobą, ogląda swoje stopy z poprzecznymi śladami skarpetek trochę ponad kostkami,

przecież na dworze jest ciepło i rajstop nie nosi. Ślady skarpetek jej się nie podobają, leniwie unosi nogi nad wodą i ogląda pomalowane paznokcie. W tym czasie radio zaczyna trzeszczeć, Anna-Maria unosi nogę jeszcze wyżej i lekko stuka w ciemny kadłub radia, radio nagle zrywa się z paska i leci prosto do wody, boleśnie uderzając Annę-Marię w łydkę. Anna-Maria wystraszona mówi, kurczę, ale boli, i patrzy, co tam z łydką, ma na niej niewielki, ledwie widoczny ślad po oparzeniu jeszcze z dzieciństwa, kiedy z przyjaciółmi bawiła się w partyzantów Tity i robili jakąś wybuchową substancję w podziemiach koło dworca kolejowego, substancja straszliwie śmierdziała, ale wszyscy to wytrzymywali, w końcu byli dziećmi, nie pogadasz, Anna-Maria zawsze była w centrum uwagi uczniów i nauczycieli, więc nic dziwnego, że kiedy jakiś przygłupi partyzant nieostrożnie detonował ich materiał wybuchowy na miejscu w piwnicy, Anna-Maria znalazła się tuż obok, osmałiło jej łydkę, rodzice bali się, że ślad zostanie, mimo to wszystko szybko zeszło i teraz już nic nie było widać, tylko włosy prawie jej nie rosły w tym miejscu, dlatego Anna-Maria nie musiała jej - tej łydki - golić. Anna-Maria zdziwiona dotknęła ręką miejsca, w które uderzyło ją radio i wystawiwszy nogę nad wodę, przyjrzała się jej jeszcze raz. Miała dwadzieścia kilka lat, wszystko, co mogło uformować się w jej ciele, już się uformowało, rozwijać zaczęła się szybko i zawsze z tego korzystała, już w połowie podstawówki miała gładką skórę i długie,

pełne nogi, za co wszyscy ją lubili, jak później sama opowiadała, pierwszy seks miała też w szkole, wtedy po raz pierwszy się zakochała, miłość była nieszczęśliwa, jej wybranek okazał się homoseksualistą i Anna-Maria chciała się zabić, znalazła brzytwę ojca i pocięła sobie nią prawy nadgarstek, od tego czasu ma tam bliznę, ale tak w ogóle to też prawie niewidoczną.

Jeszcze na początku szkoły zaczęła śpiewać w chórze, uczyła się w szkole muzycznej, specjalnie, żeby na nią popatrzeć, przychodzili tam kursanci akademii wojskowej i przypadkowi zbrojeńcy, była niezbyt wysoka i miała długie rudawe włosy, dopiero kiedy zdała na uniwersytet, ostrzygła je, ale śpiewać nie przestała, na uniwersytecie zaproszono ją do prawdziwego chóru, dyrygent zbierał folk, który później wykonywali, pieniędzy z tego, oczywiście, nie było, po studiach Anna-Maria na jakiś czas zatrudniła się jako kelnerka, ale jakieś dwa lata temu ich stare nagrania dotarły do Niemiec i poproszono ich o przesłanie fonogramów, jeszcze rok później w Berlinie, w wytwórni Rekin, która specjalizuje się w world music, wyszła podwójna płyta pod patetyczną nazwą „Bałkański Blues”, było tam kilka nagrań ich chóru, płyta zdobyła pewien rozgłos, w zjednoczonej Europie dziwiono się - patrzcie, my ich bombardujemy i bombardujemy, a oni dalej śpiewają, dumni pionierzy Tity, i zaproszono ich do Niemiec, żeby wystąpili na wielkim folkowym festiwalu, wystąpili i połowa z nich, rzecz jasna, została w Niemczech, ale



Anna-Maria zdążyła znaleźć jakieś stypendium, postanowiła dalej poznawać folk, przyjechała, pomieszkała kilka tygodni w akademiku, potem odnalazła w mieście jakąś dawną przyjaciółkę swojej mamy, ta wynajęła jej jedno ze swoich mieszkań i oto Anna-Maria przeżyła w Wiedniu zimę, i szczęśliwie przeżywała wiosnę, chodziła od czasu do czasu na jakieś zajęcia, tęskniła za Belgradem, wysyłała pocztówki do mamy i codziennie nalewała sobie pełną wannę gorącej wody, włąziła do niej i nuciła folk.

W łazience jest wilgotno i ciepło, nad wodą latają motyle, które nie wiadomo jak tu trafiły, Anna-Maria wyławia w końcu z wody swój odbiornik i wyrzuca go na podłogę, jak mokrą żabę. Motylom chyba gorąco, Annie-Marii też, ale wyłączyć nie zamierza.

- No co - pytam ją - czemu milczysz?

Byłem jednym z pierwszych jej znajomych w Wiedniu. Zamieszkała obok, byliśmy sąsiadami, pomogłem jej wypełnić papiery z banku i policji, nawet karmiłem ją kilka dni bulionem we wspólnej kuchni, bo kasy wtedy nie miała i zjeść też nie miała co, słowem, jesteśmy przyjaciółmi, w dobrym tego słowa znaczeniu, to znaczy bez seksu, bez całej tej szamotaniny, bywa niekiedy i tak, po prostu ona jest już taka porąbana, siedzi sobie w wannie, telefonuje stąd - z łazienki - do swoich przyjaciół, właśnie do mnie zadzwoniła godzinę temu, poprosiła, żebym przyszedł poradzić, co ma dalej zrobić ze

sobą, a ma, mówi, poważne problemy.

Oczywiście przychodzę, ona otwiera mi drzwi i biegnie z powrotem do łazienki, już stamtąd krzyczy do mnie: chodź, nie stój tam, wchodzę do łazienki, siadam na krześle i oglądam motyle nad wodą i rozmiękły zrypany odbiornik, który chrypi sobie na podłodze. Anna-Maria siedzi po szyję w wodzie, patrzy na mnie ze smutkiem, pali rozmiękłe papierosy i milczy. I wtedy pytam:

- No, co jest, czemu milczysz?

- Mam problemy - zaczyna i zaciąga się nerwowo. -  
Przepraszam, że cię wyciągnęłam z domu.

- To nic. Przepraszam, że nie zdjąłem butów. Mokro tu.

- Tak, przepraszam, radio wpadło mi do wody.

- Chcesz, żebym je naprawił?

- Nie, nie, rozumiesz, mam problem z twoim znajomym.

- Z jakimi znajomym?

- No, z twoim rodakiem. Z Alikiem.

- A jakie z nim mogą być problemy?

- Zakochał się we mnie.

- Przecież jest komputerowcem - powiedziałem czemuś.

- No to co - nie może się we mnie zakochać komputerowiec? - zakaszłała Anna-Maria.

- Dobry komputerowiec - nie. Oni są egocentryczni, im nie do tego.

- Znaczy, że Alik jest złym komputerowcem -

poważnie powiedziała Anna-Maria.

- Jest moim przyjacielem - zaprzeczyłem - i rodakiem.

- Mieszkacie niedaleko?

- Tak. Nasze miasta są niedaleko. Pięćset kilometrów, rozumiesz?

- Wczoraj zadzwonił do mnie i powiedział, że mnie kocha. Co mam robić?

Z nią zawsze są takie problemy, cały czas się skarży, to kontrolerzy w tramwaju się jej oświadczają, to staruszki w operze, zresztą nic dziwnego, jest miłą kobietą, z naiwną twarzą i pięknymi piersiami, no i mój przyjaciel Alik coś sobie wymyślił, zresztą to ja ich przedstawiłem sobie całkiem niedawno, siedzieliśmy w jakimś klubie, spotkaliśmy się po prostu wieczorem, siedzieliśmy, piliśmy, ona i Alik szybko się narąbali, zaczęli coś śpiewać, no i teraz muszę tego wszystkiego wysłuchiwać.

- No - pytam - a on ci się podoba?

- Nie wiem - mówi Anna-Maria - miałam z nim seks i nie spodobało mi się.

- Mieliście seks?

- Tak, rozumiesz, nie bardzo chciałam, ale tak wyszło.

- I co?

- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Rozumiesz, nie całkiem mi się spodobało.

- A co - to był twój pierwszy seks?

- Nie, nie o to chodzi. Rozumiesz, on przez cały czas

tak rytmicznie oddychał. Pytam go, co ty robisz? a on mówi, że odwleka, znaczy, swój orgazm i dlatego stara się kontrolować oddech.

- Ciekawe, nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Poczekaj. On oddycha, OK. A mnie, jak myślisz, było przyjemnie?

- Nie wiem - powiedziałem szczerze.

- Miałam wrażenie - ciągnie dalej - że ćwiczysz sambę. Tylko bez ubrania.

- Bez ubrania chyba niewygodnie.

- Co niewygodnie?

- No, ćwiczysz sambę.

- No i nie wiem, co mam teraz robić.

- A - mówię - nie próbowałaś powiedzieć mu, żeby nie oddychał?

- A jak ja miałam to zrobić? Co, miałam mu powiedzieć: „Nie oddychaj”? Pierwszy raz coś takiego mi się zdarzyło.

- Słuchaj - próbuję ją pocieszyć - koniec końców, Alik to dobry chłopak. Komputerowiec. Może ci jakiś program napisać. Stronę zrobi.

- Niepotrzebna mi strona - Anna-Maria topi kiepa w wodzie i od razu podpala następnego papierosa. - Boję się go. Nagle zrobił się jakiś szalony. W waszym kraju wszyscy są szaleni?

- Oczywiście - zgadzam się - poczynając od prezydenta.

- Słuchaj, porozmawiasz z nim - cicho, niemal

szeptem mówi ona. - Znasz jego, znasz mnie, ciebie posłucha.

- I o co mam go zapytać? Czemu kontroluje swój oddech?

- Nie, w ogóle porozmawiać z nim, czego on w ogóle ode mnie chce. Porozmawiasz?

- Dobra - zgadzam się. - Jakoś przy okazji na pewno z nim pogadam. Zamkniesz za mną drzwi?

- Czekaj - krzyczy i łapie mnie za rękę, ochlapując ciepłą pianą - nie idź. Masz z nim porozmawiać teraz!

- A on jest tu pod wodą czy co?

- Zaraz przyjdzie.

- Może się ubierzesz?

- Nie, nie, ja zostanę tutaj, tu czuję się spokojniejsza.

- Aha - mówię - przede wszystkim nurkuj głębiej; tam cię nie znajdzie. Masz piwo?

- Mam wódkę. Weź z kuchni.

W kuchni rzeczywiście jest nadpita butelka wódki, ale nie ma żadnych szklanek, tylko kubki do herbaty z napisem „Happy Birthday”, biorę kubki, zanoszę z powrotem do łazienki, nalewam Annie-Marii, no to, mówię, happy birthday, nerwowo wypija, krztusi się, traci równowagę i idzie na dno. W tym czasie ktoś dzwoni do drzwi. Idę otworzyć.

Do mieszkania wchodzi Alik, ciągnąc za sobą, jak ciężką rybacką sieć, poranne głosy ze schodów i swój personalny zapach komputerowca. Prawdziwego komputerowca zawsze można rozpoznać po zapachu, ten

zapach trudno z czymś pomylić i nie można go nabyć tak po prostu, nie podłączając się do klawiatury. Myślę, że oni pachną Microsoftem. Alik trzyma w dłoniach skórzany pomarańczowy plecak i gryzie chińską błyskawiczną zupkę. Zupkę należałoby chyba wrzucić do gorącej wody, mimo to Alik gryzie ją tak samo, jak grenadierzy z esesmańskich dywizji, zajmując latem czterdziestego pierwszego na pół senne miasteczko na wschodnim froncie, gryźli swoje suchary.

Alik wita się, mówi, że cieszy się ze spotkania ze mną. Szeptem dodaje, że dobrze, że tu jestem, i zaczyna z zachwytem powtarzać jakąś historię z życia komputerowców, w której wszystko trzyma się kupy dzięki regularnemu używaniu mało zrozumiałego dla mnie słowa „procesor”, i w myślach zauważam, że kiedy przez około 15 sekund nie pada to słowo, opowieść traci dynamikę i jakąkolwiek logiczną treść. Być może dlatego, że ją tylko słyszę - gdyby mógł mi to wszystko zapisać...

- Najpierw chciałem to wszystko zapisać - mówi Alik - ale wtedy pomyślałem, że zapamiętam. To taka sprytna sztuczka.

Wyciąga z plecaka jakąś rzecz - coś, co bez wątpienia jest związane z projektowaniem stron internetowych - i zaczyna wykonywać z nią jakieś niezrozumiałe manipulacje, od czasu do czasu powtarzając swoje sakralne: „procesor”. Komputerowcy to dziwni ludzie, w nich wszystkich wytwarza się taki nieszkodliwy fetyszizm, na tyle zżywiają się ze swoimi personalnymi

maszynami, że zawsze muszą mieć przy sobie jakieś części, ale przecież monitora nie będziesz ze sobą ciągać, więc ograniczają się do detali, dysków, elektronicznych kawałków, starają się możliwie najczęściej pokazywać je ludziom, gładzić, postukiwać w nie palcami, przecierać rękawami, wymawiając przy tym wszelkie pozytywne dla swoich czakr słowa, jak choćby „procesor”, „winchester” czy wojownicze „antywirus”. Bardzo dziwni ludzie, myślę, że kiedy zaczęłaby się wojna i zmobilizowano by komputerowców, wcielając ich, na przykład, do wojsk raketowych, to wracając wieczorem do koszar, ciągnęliby ze sobą głowice bojowe, przenosiliby je przez posterunki wartowników pod szarymi szynelami, potem kładliby obok siebie na poduszkach, jak pluszowe misie, rano odnosiliby z powrotem i przykręcali na miejsce, zwracając siłom zbrojnym bojową gotowość.

Jeszcze parę lat temu, mieszkając w Kijowie i nie znając obcych języków, Alik zajmował się czymś stosowanym, zdaje się, lingwistyką, i przez to porządnie pił. Nie miał specjalnie dobrego zdrowia i alkohol wchodził mu ciężko. Alik ciągle rzygał i miewał potworne, wielogodzinne kace. Picie rzucił całkiem niespodziewanie, kiedy pewnego razu przyszedł do domu mocno pijany i obudziwszy się w środku nocy, poszedł rzygać pod prysznic. Odkręcił kran i spróbował napić się wody z umywalki. Woda była słodka. To ruszyło Alika. Następnego dnia obudził się, od razu

przypomniał sobie o wodzie i poszedł spróbować. Woda w dalszym ciągu pozostawała słodka. W innym kranie, w kuchni, woda też była słodka. Alik się przestraszył. Na trzeci dzień woda znowu była normalna, ale przestraszony Alik już postanowił, że rzuca picie. Zwolnił się ze swojej katedry, pokłócił się z szefem i zapisał na kurs komputerowy. Już po kilku miesiącach składał kolorowe wykresy w punkcie skupu zboża, a po roku zaczął robić skomplikowane strony, przeważnie dla zachodnich firm, które nieźle na tym wychodziły, wykorzystując swoich kijowskich partnerów, na przykład Alika, jako tanią siłę roboczą i płacąc za pracę na lewo, zgodnie z wszelkimi zasadami ekonomii.

Poza tym Alik prowadził zdrowy tryb życia, nie pił, pogryzał na sucho chińskie błyskawiczne śniadania, palił jointy, zapijając je owocową herbatą, a w wolnym czasie zajmował się animacją komputerową. Najbardziej globalnym jego projektem była kilkuminutowa animowana przypowieść o dobrych leśnych bobrach, technicznie trochę niezgrabna, mimo to liryczna i pouczająca. W Alikowej historii leśne bobry, które wcześniej znane były z wrednej natury i patologicznego sępiarstwa, nagle przeżywają jakiś emocjonalny wstrząs i postanawiają stać się dobre. Przychodzą do ludzkiej cywilizacji i opowiadają o swojej przemianie. Po pewnych wahaniach (3-4 sekundy kolorowej animacji) ludzie odważają się uwierzyć leśnym bobrom i pozwalają im mieszkać i pracować razem z nimi. Tu należałoby



oczekiwać od leśnych bobrów jakiejś podłości, podstępny uwarunkowanego genetyką i paskudną przeszłością, a tu popatrz, nie - w Alikowej historii, co najbardziej mnie w niej pociągało, nie było niespodziewanych zwrotów akcji, leśne bobry naprawdę odmieniły się i zaczęły brać aktywny udział w życiu społeczeństwa. Mało tego, niektóre z nich, najpracowitsze czy jak, osiągnęły niebywałe sukcesy w biznesie i pootwierały własne biura z osobistymi sekretarkami, to miejsce (5-6 sekund) najbardziej mi się podobało. Film kończył się rozwlekłą bachiczną sceną (20-25 sekund razem z napisami) jakiegoś bizneslunchu gdzieś na leśnej polanie, co prawda, podobnej raczej do boiska baseballowego, gdzie obok biznesmenów-leśnych-bobrów siedzieli biznesmeni-ludzie i pili bezalkoholowe napoje, zagryzając je cheeseburgerami.

Historię o dobrych leśnych bobrach Alik wepchnął jako spot reklamowy na właśnie skończoną stronę jednej norweskiej korporacji farmaceutycznej. Norwedzy animowany wytwór kijowskich partnerów zauważyli zbyt późno, kiedy już ich strona oficjalnie zadziałała, mało tego, jej popularność zaczęła gwałtownie rosnać, a stworzone przez Alika forum okupowało bez liku gości, których przynależność społeczną ciężko ustalić, ale farmacją interesowali się oni najmniej, rozwodzili się zazwyczaj na temat spirytyzmu, sekciarstwa czy też po prostu zjawisk paranormalnych. Podejrzenia nasiliły się po tym, jak pewnej nocy na forum wleźli przedstawiciele

jednej z organizacji anarchistycznych i długo naradzali się na temat możliwości bezpłatnych przelotów samolotami norweskich linii lotniczych, po czym stroną zainteresowała się policja. Farmaceuci uważnie przejrzeni swoją stroną i oficjalnie oskarżyli kijowskich partnerów, że ci, niby, stworzyli z niej idealną przynętę dla downów, homoseksualistów i czerwonych, tylko nie dla farmaceutów, że porządny farmaceuta na taką stroną nawet nosa nie wetknie, i że za takie rzeczy powinno się ściągnąć z nich konkretną kasę jako rekompensatę, ale ponieważ pieniądze przekazywano na pół legalnie i nie były nigdzie udokumentowane, to stratni farmaceuci zaproponowali kompromisowy wariant - kijowscy partnerzy mieli przeprosić, przerobić wszystko szybko i za darmo, a przede wszystkim - dać po głowie temu, kto umieścił na ich farmaceutycznej ojcowiznie spot o dobrych leśnych bobrach. Był skandal, Aliką pozbawiono premii i urlopu, chciano go w ogóle zwolnić, potem rozważnie postanowiono: sam wepchnął tam te pierdolone bobry, to niech sam je stamtąd wyciąga. Alik denerwował się, dużo palił, pił swoją owocową herbatę i smutno patrzył w okna biura. Niespodziewanie dla wszystkich, którzy go znali, złożył dokumenty na staż na wiedeńskim uniwersytecie i, podobnie jak Anna-Maria, przybył do obcego kraju w poszukiwaniu kwalifikacji zawodowych i stabilizacji finansowej. Razem piliśmy, często chodziliśmy po barach, urządzaliśmy ekstremalne maratony pływackie w alkoholu, no i podczas jednego z

takich maratonów poznałem go z Anną-Marią. Teraz, zdaje się, oboje mieli problemy.

Pogadawszy jeszcze jakiś czas o procesorze, Alik stał się czujny, Anny-Marii nigdzie nie było. Popatrzył na mnie pytającym wzrokiem.

- A - mówię - ty do Anny-Marii? Jest w wannie. Chodźmy.

Alik z niedowierzaniem podszedł do drzwi łazienki. Obejrzał się na mnie.

- A ty - pyta - też tam wejdiesz?

- No pewnie - mówię - przecież jesteśmy przyjaciółmi.

- Naprawdę?

- Jesteśmy przyjaciółmi, przyjaciółmi - staram się go uspokoić - mamy bardzo dobry układ. Ja też się przy niej myję.

To jeszcze bardziej go niepokoi.

- No, żartuję - nie wytrzymuję - daj spokój. Alik zdecydowanie wydycha powietrze, jednak kontroluje oddech i otwiera drzwi.

Anna-Maria widzi go przed sobą i z przestachu zanurza się na samo dno. Alik szybko zamyka drzwi.

- Słuchaj - mówi - ona jest tam całkiem goła.

- Kto?

- Anna-Maria.

- A - mówię po pewnej pauzie - Anna-Maria, tak, goła. Myje się - wyjaśniam.

- Czemu nie powiedziałeś?

- Powiedziałem.
- Nie powiedziałeś.
- Powiedziałem. Dobra, chodźmy.

Otwieram drzwi i wchodzę do łazienki. Alik wchodzi za mną, mówi „cześć”, i nie wie, gdzie ma usiąść. Anna-Maria wita się z nim i nijako patrzy na mnie. Ja z zadowoleniem patrzę na Alika, ciekawe, gdzie usiądzie. Alik drepcze w miejscu na środku łazienki i nie wie, co robić. Bardzo ładna sytuacja powstaje, lubię takie rzeczy, kiedy zbiera się jakieś towarzystwo i wszyscy zachowują się jak przygłupy, wtedy rozumiesz, że nie ty jeden jesteś taki, no, oni, oczywiście, traktują się wzajemnie z sympatią, nawet mieli ze sobą seks, a wszystko jedno - nie mogą spokojnie i normalnie się porozumieć, koniecznie muszą zrobić jakąś głupotę, nalać pełne mieszkanie wody, przytaskać tu kawałki komputera, szalony świat, szalona cywilizacja, zamartwiłbym się, gdyby zabroniono mi zadawać się z moimi przyjaciółmi.

- Siadaj, Alik - mówię mu. - Mamy wódkę. Napijesz się?

- Mam szampana - mówi Alik.

- Zawsze nosisz ze sobą szampana? - pytam go. Anna-Maria wymownie patrzy w moją stronę.

- Nie, specjalnie kupiłem.

- No to dawaj go.

Alik odkorkowuje szampana, ja przynoszę jeszcze dwa kubki „Happy Birthday”, rozlewam resztki wódki,

wypijamy, potem od razu nalewam do kubków szampana i wypijamy znowu. Zapada milczenie.

- Jeden mój znajomy malarz - zaczynam - lubi mówić, że od szampana wzdyma.

- Jak to? - nie rozumie Anna-Maria.

- No - mówię - brzuch go boli.

- Ja w ogóle nie jem ryb - mówi Anna-Maria po pauzie. - Ani krewetek, ani krabów. Ani kratowych paluszków - dodaje.

Wszyscy znowu milkną. Mowa to rzecz ulotna. Tylko powiedziałem, że mojego znajomego malarza brzuch boli od szampana, jakiś idiotyzm. Trzeba iść do domu, zawsze tak jest, rozumiem, że trzeba iść do domu, zamiast tego siedzę i słucham wszelkich bzdur. Co zrobić, żeby to wszystko się skończyło?

- Alik - mówię - Anna-Maria jest moją przyjaciółką, rozumiesz?

- Rozumiem.

- Powinniście porozmawiać, rozumiesz?

- O czym? - pyta wystraszony Alik.

- Nie wiem. O czym? - pytam Annę-Marię, która pali nerwowo i patrzy na mnie z nienawiścią.

- Posłuchajcie, przyjaciele - mówię - ja się z wami nie ruchałem (Alik się zakrztusił) - i nie obchodzi mnie, co z wami będzie. Oczywiście jesteście moimi przyjaciółmi, ale zachowujecie się bardzo dziwnie. A w ogóle to wam przeszkadzam.

- Mnie nie przeszkadzasz - chłodno mówi Anna-

Maria.

- Mnie też nie - dodaje Alik.

- No dobrze - zgadzam się - ale i tak powinniście porozmawiać. Alik, ona chciała ci coś powiedzieć.

- Nieprawda - mówi Anna-Maria.

- Prawda.

- Nieprawda.

- Prawda - mówię ja.

- Włącz głośniej radio - niespodziewanie prosi Anna-Maria. Podnoszę z podłogi mokre radio i wrzucam je do wody. Ona krzyczy i zaczyna płakać. Motyle, spłoszone, unoszą się pod sufit.

- Rozumiesz - mówi sama do siebie - zawsze bałam się zostawać sama w domu. W dzieciństwie mama zawsze brała mnie ze sobą do pracy, bo kiedy zostawiali mnie w domu, wpadałam w straszną histerię. Rwałam swoje książki, wyrzucałam ubrania przez okno, tłukłam naczynia. Słowem, puszczały mi nerwy. Ja i teraz bardzo boję się zostawać sama, rozumiesz? Dlatego zawsze włączam światło, telewizor, radio, mojego laptopa nigdy nie wyłączam, boję się, rozumiesz? No i parę dni temu przydarzyła mi się taka historia - poszłam na jakieś przedstawienie, wychodząc, wyłączyłam wszystkie światła, po przedstawieniu razem z przyjaciółmi poszliśmy do jakiegoś pubu w centrum i dobrze tam daliśmy w palnik, rozumiesz, tak w ogóle to dużo nie piję, a wtedy nastrój miałam parszywy, no i się upiłam. Przychodzę do domu, idę korytarzem, widzę - w ubikacji

pali się światło. Od razu zrozumiałam, że ktoś tam jest, złapałam krzesło w kuchni, przyniosłam je i podparłam drzwi. Żeby od środka nie dało się otworzyć. Siedzę i myślę - wzywać policję czy nie wzywać. Siedziałam tak do rana.

- A co potem? - pyta Alik.

- Potem zachciało mi się do ubikacji, postanowiłam jednak otworzyć. No i otworzyłam.

- I co?

- Nic.

- A światło?

- Nie było żadnego światła. Zdawało mi się. Zapomniałam, jak włącznik jest umieszczony, kiedy jest włączony, a jak, kiedy nie, no i pomyślałam, że włączony, rozumiesz?

- Tak - powiedział Alik z roztargnieniem.

- Pójdę lepiej wódki kupić - mówię.

- Czekaaj, czekaaj, nie idź - prosi Anna-Maria. - Alik, powiedz mu.

- Tak - mówi Alik - naprawdę nie trzeba wódki.

- Wiecie - dodaje nagle Anna-Maria - przypomniałam sobie historię...

...z jakiegoś powodu zapamiętuję głównie rozmowy, często nie pamiętam, kto właściwie wypowiadał te słowa, w jakich okolicznościach, jaki miał wtedy wyraz twarzy, w co był ubrany, mimo to słowa zazwyczaj zapamiętuję, dziwne, nie wiadomo czemu tyle ich już pamiętam - tych

cudzych słów, urywków czyichś rozmów, czyjeś szept, okrzyki, zwroty, możliwe, że to w ogóle najlepsze, co jest w tym życiu, czasami trudno mi zadawać się z moimi przyjaciółmi, wystarczy mi to, co już kiedyś mi mówili, lub to, co mówili między sobą, ciężko jest nawiązywać z nimi za każdym razem nowe rozmowy, boję się, że coś zepsuję, coś zostanie powiedziane nie tak, i w ogóle, kontakty z przyjaciółmi - rzecz delikatna, lepiej ich po prostu unikać, żeby niczego nie zepsuć. Lubię po prostu siedzieć i słuchać swoich znajomych, przeważają pośród nich ludzie niepewni siebie i tego, co ich otacza, ich rozmowy mają chimeryczny odcień, to nawet nie rozmowy, to monotonne wypowiedanie jakichś leksemów, które ich zdaniem zapewniają im przebywanie w tym świecie, oni jakby usprawiedliwiali się cały czas przed kimś, kto obdarzył ich głosem. Kiedy moi przyjaciele mówią, mogę ich słuchać w nieskończoność, uświadamiając sobie, że tak naprawdę rzecz nie w tym, że oni mają coś do powiedzenia, rzecz w tym, że ja mam co słuchać, więc ktoś, kto kieruje naszymi głosami i naszymi gardłami, kontaktuje się ze mną w ten sposób, a ignorowanie go jest po prostu nierozsądne, bo oprócz niego tak naprawdę nikogo nie obchodzisz. Siedzę i słucham Anny-Marii, słucham, jak nerwowo opowiada jakąś zagmatwaną historię, jak nie wytrzymuje i zaczyna głośno płakać, i wyznaje Alikowi miłość, Alik rozczulony coś do niej szepcze w odpowiedzi, ona dalej szlocha, chowa twarz w dłoniach, Alik schyla się nad nią i



zaczyna ją obejmować, ona też go obejmuje i dalej płacze, motyle latają przestraszone nad ciepłymi wodami i po cichu wychodzę na korytarz. Dziwne, bardzo podoba mi się ten mechanizm, ta zasada, według której wszystko się odbywa, dobrze zrobione, nie pogadasz, na przykład oni - szlajali się po tym kontynencie, szlajali się razem z milionami innych obywateli, z kimś żyli, kogoś rzucali, przed kimś uciekali, a i tak spotkali się, popatrz, nie minęli się, nie zgubili się wzajemnie, spotkali się, nagadali kupę głupot, ale wszystko jedno - jest im dobrze, będą sobie dalej mówić, będą opowiadać sobie wszelkie rzeczy, potem, może, będą się kochać. Może nawet w wodzie. Jak ryby. Albo trytony.

## Kolorowe wnętrzości ludowego auta

Policzyłem jeszcze raz. Na cały bilet i tak nie starczało. Miałem pieniądze tylko na pół drogi. Więc połowę trzeba przejechać za bezdurno, a ze względu na pogodę nie było w tym nic dobrego. Lato mamy deszczowe i pogoda już drugi tydzień jest raczej jesienna. Można powiedzieć, październikowa. Trzeci dzień szlajam się po Monachium, początkowo zatrzymałem się u znajomych, którzy mają tutaj, w cichej dzielnicy nieopodal miejskiego parku, niewielki piętrowy dom ze starymi tanimi meblami i kilkoma poźółkłymi wannami, w tym ich domu ciągle ktoś się zatrzymuje, jacyś rodacy, kuzyni czy po prostu znajomi, którzy nie mają gdzie nocować, mnie też od razu zgodzili się wpuścić, zadzwoniłem do nich jeszcze z drogi, autobus, którym jechałem, zatrzymał się na trasie, dookoła sterczały Alpy, ludzie rzucili się do pobliskiego lasku, niebo beznadziejnie zaciągnęło się chmurami i na przydrożny żwir sypały się zimne krople; poszedłem dzwonić, słuchajcie, mówię, będzie w porządku, jeśli

zatrzymam się u was na parę dni? czemu nie, mówią oni, dobra, przyjeżdżaj, nie będę wam przeszkadzał? nie, no co ty gadasz, odpowiadają i dalej nawijają coś w tym samym duchu, mówią, możesz bez problemu zatrzymać się w naszym gościnnym domu, wypełnionym zepsutą armaturą i maniakalnymi rodakami, my właśnie chcemy wyrwać się z miasta w wolne dni, pojechać gdzieś nad jezioro, wziąć ze sobą sandwicze i wino, no, sam wiesz, jak to bywa, a skąd mam wiedzieć? odpowiadam, ja nad jeziora z winem i jedzeniem nie jeżdżę, ale klucze ci zostawimy, mówią, najważniejsze - pilnuj gazu i podlewaj kwiaty, dobrze, mówię, będę pilnować, karta już mi się kończy, tak że za kilka godzin się zobaczymy, zobaczymy się, zobaczymy, mówią, ale nie licz na śniadanie, dobrze, odpowiadam, co tam, obejdę się jakoś, coś wam przynieść? tak, odpowiadają, jeśli masz baterie do latarki, okrągłe takie, duże, wiesz? bardzo nam są potrzebne, już się spakowaliśmy, wzięliśmy namiot, kupiliśmy tosty do sandwiczów, nawet takie specjalne kadzidła przeciwko komarom kupiliśmy, a dokąd jedziecie? dopytuję się, co? oni nie słyszą, no, a baterijek do latarki nie kupiliśmy i już dzisiaj nie chcemy wychodzić, widzisz, jaki deszcz na dworze? widzę, mówię, widzę, no, to jak masz - przynieś, dobrze, krzyczę, akurat przypadkowo wziąłem ze sobą kilka, tak że przyniosę, no, to dobra, oni też zaczynają krzyzczeć; karta całkiem zdycha, odwieszam słuchawkę i idę z powrotem do autobusu, trzeba przejść jakieś

siedemdziesiąt metrów w deszczu, gdzieś dziesięć od autobusu słyszę, że ktoś mnie woła, i oglądam się, stoi tam tłusty pracownik stacji benzynowej w żółtym uniformie, macha do mnie ręką, w której coś ściska, co takiego? krzyczę do niego, on dalej macha ręką i rozcinając kałdunem deszczowe strumienie, ciężko sunie do autobusu, stoję i moknę, czego on chce? z okien patrzy na mnie dobra dziesiątka pasażerów, którym poszczęściło się, jadą z prawej strony i obserwują wszystko co najciekawsze po drodze, facet powoli, bardzo powoli, idzie w moim kierunku, jest już cały mokry, ja też jestem mokry, do tego ci zasrani pasażerowie, siedzą sobie w ciepłym autobusie i oglądają nas jak dwa aligatory, taplające się w deszczu w trawie i żwirze, już nawet nie strząsam kropel, koniec - jestem przemoczony, dziękuję za uwagę, drodzy przyjaciele, możecie popatrzeć w lewo, tutaj już nic ciekawego nie będzie, facet uparcie brnie do autobusu, ale jest wytrwały, pewnie był dobrym skautem w szkole, co go tak rozdęło, być może coś z przemianą materii, a tak na pozór normalny facet, tylko ten głupawy uniform, ale całkiem możliwe, że pod nim bije dobre i szczerze serce boy scouta, oglądam się na autobus - dziesięć par oczu śledzi wszystko równie pilnie i bezustannie, kierowca pewnie się denerwuje, sekundę, krzyczę do niego, moment, facetowi wreszcie udaje się dowlec do mnie, z niezadowoleniem kręci głową, potem ciężko sapie i podaje mi moją kartę telefoniczną, którą zostawiłem w automacie, zapomniał pan, mówi, proszę

wziąć, ja przez tę cholerną kartę lażłem tu w tym cholernym deszczu, ale pogoda, mówi pokojowo, taa, odpowiadam, deszcz, facet odwraca się i brnie z powrotem, dziękuję! krzyczę za nim i chowam kartę do kieszeni, naprawdę nie mogę mu powiedzieć, że jest już zużyta.

Najbardziej niewdzięczna rzecz - szukać w wieczornym Monachium w wielogodzinnym deszczu baterijek do latarki. Ale znajduję nieopodal dworca budkę, gdzie Turcy sprzedają wszelką kontrabandę, a dla zachowania pozorów legalności naprawiają jeszcze obuwie, i tam są te baterijki, kupuję je i idę do znajomych. Mieszkają we dwójkę w tym domu, to młoda para małżeńska, są emigrantami w drugim pokoleniu, dom jeszcze w latach sześćdziesiątych kupili jacyś przyjaciele ich rodziców, teraz rodzice i ich przyjaciele mieszkają w Ameryce, a tych dwoje wróciło do Europy i zamieszkało w tym domu, który dostali za darmo do użytku. A że dom w końcu nie ich, to remontu nie robili, i w domu pachnie mocnym dobrobytem starych dobrych lat sześćdziesiątych, kiedy z białym człowiekiem jeszcze się liczone, a do budowy własnych siedzib podchodzono z nabożeństwem i uwagą, napętniając mieszkania licznymi pojemnymi szafami, szerokimi łózkami, a także koniecznie kompletem masek przeciwgazowych, wszystko na wypadek nowych bombardowań ze strony sojuszników. W domu, jak już mówiłem, ciągle zatrzymują się jacyś podejrzeni osobnicy, ale niekiedy

trafiają się też całkiem porządni goście, tacy jak ja, więc kiedy przyszedłem, tradycyjnie ucieszyli się z tego, ale myślę, że gdybym nie przyszedł, ucieszyliby się jeszcze bardziej. Oddałem baterijki i gospodarze rzucili się do ich sprawdzania, na środku salonu leżała cała góra ich rzeczy, ubrania, namioty, koszyki z prowiantem, wzięliście maski przeciwgazowe? pytam, jakie maski przeciwgazowe? nie rozumieją, nieważne, mówię, muszę gdzieś wysuszyć ubranie, idź do kuchni, mówią mi, ale bardzo proszę - ostrożnie z gazem, twój pokój jest na piętrze, dobra, mówię, w takim razie idę spać, no to do jutra, odpowiadają oni, śniadania nie będzie - dodają, zrozumiałem, mówię i idę do swojego pokoju. Ubrania postanawiam nie suszyć - i tak jest deszcz.

Są ludzie, którzy w ogóle nie lubią spać w cudzych mieszkaniach, czują się tam niepewnie, nie mogą zasnąć albo - jeśli już zasypiają - śnią się im różne świństwa. Jeśli ktoś zapytałby mnie o zdanie, osobiście nie radziłbym ufać takim ludziom, są przywiązani do bzdur, w upodobaniu do własnego mieszkania, do jego kolorów i zapachów nic złego, oczywiście, nie ma, ale z drugiej strony, nie wiadomo, jak zachowują się takie typy w poważniejszych okolicznościach, powiedzmy, na wycieczce turystycznej albo na transatlantyckim liniowcu, kto wie, co siedzi w głowie człowieka, który nie może zasnąć w zwyczajnym trzygwiazdkowym hotelu, możliwe, że w takich głowach wyrastają najkrwawsze pomysły, stąd całe to zamknięcie, izolacja, jak sądzę,

wychowuje faszystów, liberałów, hakerów i innych pojebów, którzy dają się we znaki wszystkim w naszej totalnie posranej rzeczywistości. Do rana mógłbym wiele opowiedzieć na ten temat, śpiewając hymny nieustraszonym współczesnym bohaterom, którzy włączają się po powierzchni tej rzeczywistości, niezbyt przejmując się haniebnym brakiem szczęścia, z którym przyszło nam przeżywać podarowane nam życie, mógłbym z zachwytem mówić o tych melancholijnych romantykach, którzy nie przestają znajdować ostatnich, choćby nielicznych, a mimo to odurzających rozkoszy, za odświętymi parawanami cywilizacji. Mógłbym opowiedzieć o nich wiele ciekawych rzeczy, tym bardziej że to chyba jedyna grupa społeczna, która nie budzi we mnie obrzydzenia, no, ale jak bym wyglądał, śpiewając hymny i wygłaszając przemowy ku czci wszystkich autsajderów zjednoczonej Europy, w mokrym ubraniu na środku ciemnego pokoju, w którym cisza jest gęsta i zimna, i pachnie stojącą w karafkach wodą do podlewania kwiatów i glinianymi krucyfikami na pustych ścianach?

Rano gospodarze przyszli do mnie się pożegnać. Było jeszcze bardzo wcześnie i w ciemnościach rysy ich twarzy gubiły się i rozplywały. Mieli na sobie turystyczne ubrania, wojskowe buty i dziwne kaski, przypominali dwójkę szalonych geologów, którzy szukają w czeluściach bawarskich mieszkań pokładów nafty, albo

dwoje misjonarzy, których zapasy prowiantu, a zarazem konie i poganiaczy zżarła zgraja tępych, pozbawionych poczucia humoru i umiaru tubylców, i teraz muszą przedzierać się z powrotem przez tropiki i mokradła, broniąc się przed moskitami, rdzennymi mieszkańcami i aligatorami, albo dwoje farmerów, którzy na alpejskich połoninach uprawiają konopie, korzystając z wiecznej mgły i policyjnego pochuizmu, i właśnie zamierzają sprawdzić, jak się mają ich oziminy. Słowem, początkowo ich nie poznałem. W końcu cudze mieszkanie, najpierw pomyślałem, że znowu jacyś rodacy przyjechali albo i przeszli na piechotę polsko-niemiecką granicę i teraz będą przez najbliższe trzy dni świętować małe, ale w każdym razie zwycięstwo nad Wehrmachtem. Idziemy, powiedzieli mi, będziemy w poniedziałek rano, masz tu klucz, jeśli się nas nie doczekasz, wrzucić go do skrzynki pocztowej na ganku, reklam nie bierz, słuchawki nie podnoś, z sąsiadami się nie kłóć, jak się pokłócisz, policji nie wzywaj i im też nie pozwól wezwać, w ogóle czuj się jak w domu, a my przywieziemy fotki i ci pokażemy - mówią na koniec, podając mi klucz i biały papierek. Co to? - pytam. Telefon do pogotowia gazowego - mówią i znikają w ciemnościach.

Dalej spać już nie mogę, dlatego wstaję i zaczynam snuć się po domu, oglądam poźółkłe od czasu i chemii gospodarczej wanny, obrazy na ścianach w korytarzach, książki na krzesłach, naczynia na podłodze, w kuchni znajduję czajnik i stawiam go na kuchence, takiej starej,



fajnej, całej w tłuszczu i krwi wielkiej gazowej kuchence. Przypomina zwierzę domowe i oni ją, zdaje się, lubią, chociaż nie myją. Stopniowo zaczyna śmierdzieć gazem. Wyłączam ogień, zbieram swoje rzeczy i wychodzę z domu. Niebo zaciągnęło się deszczem na długo, cudowna pogoda na spacer i rozmyślenia o czymś dobrym - wrzucam klucz do skrzynki pocztowej i idę do miasta.

Ci nieliczni śmiali mieszkańcy wielkich zadymionych megalopolis na wschód od Oceanu Atlantyckiego, samotni, zadowoleni z życia mężczyźni i kobiety, którzy tego deszczowego ranka wybrali się do miejskich parków, mają piękną okazję zbliżyć się do niebios, być najbliżej nich, bo niebiosa dzisiaj po prostu przysiadły pod ciężarem wody i ciągną się nisko nad mokrymi drzewami, jak brzuch jakiejś jaszczurki, niemal nad samą powierzchnią miasta, nad rzeką i parkowymi alejkami, po których uparcie biegają nieszczęśliwi klerkowie i tylko rozczochrane psy radośnie obszczekują ten brzuch, który wali się na nie z góry, póki ich panowie nie doczłapią się do nich po strzyżonej trawie w przezroczyстых płaszczach przeciwdeszczowych, podobni do celników albo do ochroniarzy - ochroniarzy mokrej strzyżonej trawy. Każde miasto, niezależnie od stopnia swego dobrobytu czy statusu ekonomicznego, w czasie dni wolnych zmienia się. Zmienia się jego oddech, jakby się zatrzymywał, z ulic i kawiarni znika upierdliwa middle class, robi się cicho i spokojnie, nie ma się czym zająć, nie ma dokąd pójść, chce ci się - możesz jeździć sobie

pustymi autobusami, od pętli do pętli, chcesz - oglądasz reklamy i architekturę, chcesz - przechodzisz przez ulice na czerwonym świetle, nieważne, żaden palant cię dzisiaj nie pobije, przecież wszyscy palanci pojechali nad jeziora pić wino i żreć sandwicze, a w tym mieście zostali chyba tylko policjanci i kibice futbolowi, i już nie wiadomo, kto gorszy.

Po południu poszedłem na dworzec, wysuszyć się i planować swoją najbliższą przyszłość. Można po prostu dzisiaj jechać do Berlina, przenocować tam na dworcu i już stamtąd wyruszać dokąd trzeba. Można przenocować tu, na dworcu, jutro dostać się do Berlina, no i tak dalej. Słowem, tak czy tak wychodziło, że spać trzeba na dworcu. Dzisiaj, á propos, ma być kolejka ligi, w barze na parterze wisi ekran na całą ścianę, powinni pokazać chociaż jeden mecz, trzeba więc wyruszać tam, a dalej się zobaczy, zależnie od wyniku.

Mecz oglądałem z brygadą kibiców z Niemiec wschodnich. Przyjechali specjalnie do Monachium, śladem swoich ulubieńców, pili całą drogę w pociągu, rano zatrzymali się w dworcowym barze i już stąd nie wychodzili. Kiedy zobaczyli, że kibicuję ich drużynie, postawili mi piwo i potem nigdzie nie puszczali. Tym bardziej że nasi przegrali i należało trzymać się razem w tej całej naszej żałobie. Z baru przeszliśmy na peron, najpierw rozmawialiśmy o futbolu, potem, kiedy pękła północ, wszyscy stopniowo się zamknęli, po prostu

siedzieli sobie, milczeli i słuchali, jak mży, właściwie nawet nie mży, a leje - na gęstą dworcową zieleń, na czarne metalowe konstrukcje, policyjne samochody, bezdomne dzieci.

Rano kibice wsiedli do regionalnego ekspresu, poczekałem, aż pociąg ruszy, i poszedłem kupić bilet. I właśnie wtedy okazało się, że wystarczy mi tylko na połowę drogi. No dobrze, mówię sobie, tak miało być, kupuję kilka puszek piwa, długo studiuję mapę miasta, układ linii metra, schodzę na stację i jadę w poszukiwaniu wylotówki na Berlin. Kłopot polega na tym, że mój kieszonkowy plan miasta jest za mały i kończy się na przedmieściach, więc mogę tylko się domyślać, w którym miejscu zaczyna się autobahn. Zresztą, na którymś przystanku wysiadam, spotykam policyjny patrol i pytam ich, gdzie tu jest trasa do Berlina, patrzą na mnie z niedowierzaniem, ale odpowiadają, okazuje się, że przejechałem i powinienem jechać dobre dziesięć kilometrów w bok, najlepiej nie metrem, w ogóle to już nawet nie jest Monachium, a zupełnie inne miasteczko, oddzielna, można powiedzieć, jednostka administracyjna, w której raczej nikt na mnie nie czeka. Dobra - dziesięć kilometrów, czas leci.

Mokre wysokie biura towarzystw budowlanych, pojemne pawilony salonów samochodowych, zamknięte pachnące magazyny, podwórza, przydrożny fast food, pudełka supermarketów, żwir na parkingach, żarówista

trawa obok pustych kapliczek, wszystko polane deszczem, poobwieszane mgłą, cudowny świeży dzień na zapleczu cywilizacji, przechodzę porządny kawał podobnego księżycowego krajobrazu i w końcu zatrzymuję się pod jakimś magazynem farb, brama jest otwarta, przy wejściu siedzą robotnicy i wyglądają stamtąd na ulicę. Turcy, pomyślałem, no właśnie - Turcy, kto jeszcze może przyleść w niedzielę do pracy i nic nie robić? Dzień dobry, mówię, można tu posiedzieć? początkowo nie rozumieją, powtarzam raz jeszcze, a mówią, dzień dobry, właśnie - Turcy, otwieram plecak, wyciągam swoje piwo i oddaję im, biorą i nawet nie dziękują, nie wiem - może codziennie im tu wdzięczny niemiecki naród przynosi za darmo chlańsko, co, w niedzielę pracujecie? - pytam, dużo roboty, mówi jeden z Turków, dużo zaszranego roboty, widzisz, ile farby? to wszystko nasze, milknie, a potem kontynuuje, sprzedam farbę - kupuję sobie samochód i wtedy wracam nim do domu. Niemcy - potworny kraj, widziałeś ich kobiety? pyta mnie, no, niektóre, mówię, potworne - ciągnie dalej Turek, one wszystkie są potworne, tak że kupię sobie samochód - i do domu. A ty co? pytam, tylko przez kobiety? Nie, nie tylko, mówi. No to dlaczego? Tu nic nie ma - odpowiada Turek, zamyśla się. I tam nic nie ma - dodaje.

Dwie godziny w deszczu, przy wjeździe na autobahn, na wąskim chodniku, cała woda spod kół leci, oczywiście,

na mnie, z rezygnacją macham na samochody, żeby nie było tak przerażająco, liczę długie przeciążone ciężarówki, które, jak U-Booty, przecinają gęste, nasycone deszczem powietrze - sto pierwsza, sto druga, sto trzecia, sto czwarta; ciągły strumień ciężarówek, na całej trasie, nad którą suną niebiosa, wali deszcz, z miejsca na miejsce przemieszczają się zaziębione ptaki, nieskończony strumień ciężarowych wielokołowych monstrów, nikt z nich nawet nie myśli się zatrzymać, Europejczycy przeistoczyli się stopniowo w jakieś mechaniczne pokurcze, społeczeństwo dąży nieuchronnie do pełnej dyskredytacji siebie w oczach stwórcy, czy stary musiał tak się wysilać, stwarzając świat, żeby teraz wszystko skończyło się takimi smutnymi układami, kiedy jedni stoją w kałużach, wyrzuceni, jak ryby na przydrożny piasek, na czarny asfalt przedmieść, nie mogąc dostać się do Berlina, a inni omijają ich z dziwaczną obojętnością, pozostawiając za sobą zapach ropy i społecznej niesprawiedliwości.

- Co masz w Berlinie? - pyta mnie kierowca volkswagena, kiedy już odjechaliśmy od rozjazdu i przestała ze mnie ściekać woda.

- Sprawy do załatwienia - mówię mu.

- A ja mam tam byłą żonę - mówi kierowca. Ma czterdzieści lat, sceptycznie się uśmiecha i mówi przez cały czas; jego volkswagen ledwie toczy się do przodu, ciężarówki zalewają go falami brudnej wody, i to chyba

tylko pogłębia depresję kierowcy.

- Najważniejsze - mówi - dojechać.

- Słusznie - zgadzam się.

- Bo ostatnim razem zepsuł mi się akurat na środku trasy, trzy godziny przyszło stać, dopóki ktoś się nie zatrzymał.

- Tak - mówię - to nie lata sześćdziesiąte i nie siedemdziesiąte.

- Tak - potwierdza - wszyscy czegoś się boją. Terrorystów, na przykład.

- Terrorystów to lotnicy się muszą bać, a nie kierowcy. Co ja mogę zrobić, jeśli porwę twojego volkswagena? Staranować jakiś billboard z reklamą?

- Moim volkswagenem niczego nie staranujesz - mówi - najwyżej się poturbujesz.

- A często jeździsz do swojej byłej?

- Często - odpowiada z niezadowoleniem - czasem mi się wydaje, że taniej byłoby wrócić do niej, niż tłuc się co tydzień do Berlina w tej kupie złomu.

- Lepiej kup sobie nowy samochód.

W tym czasie deszcz się wzmacnia i spod maski zaczyna walić dym. Kierowca klnie, dociąga do najbliższego parkingu i wyłącza silnik. No właśnie, mówi, znowu, potem wali pięścią w kierownicę i patrzy gdzieś w nieznane. Nie chcesz spojrzeć, co tam jest? - pytam ostrożnie. Tam jest silnik, mówi z rozdrażnieniem, pierdolone niemieckie żelastwo, ludowy samochód, gównu, wiedziałem, że tak będzie - wyciąga komórkę i

wzywa pomoc drogową. Resztę czasu siedzimy i liczymy ciężarówki, które przejeżdżają za oknem na północ. Naliczyłem dziewięćdziesiąt trzy.

Do Monachium doholowali nas pod wieczór, początkowo mechanicy próbowali zrobić wszystko na miejscu, grzebali i szperali w kolorowych kablach i błyszczących detalach, potem załamali się i odwieźli nas z powrotem. Ty dokąd? - pyta kierowca, nie wiem, mówię, chyba na dworzec, no to cię podrzucimy, dziękuję, mówię, a ty jak - poradzisz sobie? tak, bez problemu, mówi kierowca, teraz odholujemy auto do warsztatu i za parę dni będzie gotowe. A jak żona? myślę, że przyjdzie chyba przeprowadzić się do niej z powrotem, do Berlina, no i dobrze, mówię, może wspólnie uzbieracie na jakieś porządne auto. Zatrzymujemy się koło dworca, no co, mówi kierowca, przepraszam, to nic - odpowiadam, spróbuję jeszcze raz, nie myśl sobie, mówi, życie, oczywiście, rzecz nieprosta, gówna, rzecz jasna, robi się coraz więcej, ale trzymaj się, wiesz, ktoś się jednak kiedyś zatrzyma. Wiem, mówię mu, ale nie tyle dręczy mnie, czy ktoś w końcu mnie zabierze, ile boję się o tych, którzy przejeżdżają i nawet nie spojrzą, czy nikt nie stoi na poboczu. Wyobrażasz sobie, jakie demony przychodzą do nich we śnie? Jak męczą ich co noc złe anioły? Zgroza po prostu. Tak, naprawdę zgroza - mówi, nigdy o tym nie myślałem. Ja, szczerze mówiąc, też.

## Porno

- Ty wciąż mówisz o pornografii.
- No, bo lubię pornografię.
- Jak można lubić pornografię?
- Lubić można wszystko. Ty, na przykład, lubisz Elvisa. To też pornografia.
- Nie, Elvis to nie pornografia.
- Pornografia, pornografia. Elvis, George W. Bush, Myszka Miki - wszystko to pornografia.
- Myszka Miki?
- Tak, Myszka Miki. To kiepska pornografia.
- Nie. Tylko nie myszka Miki. George W. Bush - tak, zgadzam się, ale nie Myszka Miki.
- Nie zaprzeczaj.
- A ty co - oglądasz te filmy?
- Jakie filmy?
- No, filmy pornograficzne.
- Co masz na myśli?
- No, prawdziwą pornografię, filmy - rozumiesz?



- A. Nie, nie oglądam. Gdzie miałbym je oglądać? Nie mam telewizora. Miałem wybór - kupić albo telewizor, albo zimowy płaszcz.

- I co?

- Nic. Pomyślałem - na co mi telewizor.

- No, słusznie, chyba.

- Ja też tak myślę.

- A płaszcz?

- Płaszcz? No, znowu pomyślałem - na co mi płaszcz.

- Rzeczywiście - po co ci płaszcz w lecie.

- No widzisz.

- To znaczy, że filmów nie oglądasz?

- Nie oglądam.

- Dziwne... No, muszę lecieć, to mój samolot. Napiszesz potem coś o swojej miłości do pornografii.

- Koniecznie. Dobrego lotu.

- Kup sobie telewizor.

- Dobrze. W innym życiu...

...Kiedy miałem jedenaście albo dwanaście lat, przyjaźniłem się z Bobem, byliśmy w tej samej klasie. Bob był z patologicznej rodziny, jego tata siedział gdzieś na północy, a mama pracowała w bufecie na stacji, już nie wiem, co w tym patologicznego, Bob był konkretnie wykręconym kolesiem, nawet w tych społecznie unormowanych czasach chcieli go wyrzucić ze szkoły, ale dokąd go wywalisz, jeśli wszędzie wokoło jest radziecka władza. W takim wieku zawsze podoba się wszelkie

barachło, hormony buzują, wysypują się pryszcze, chciałoby się wydymać cały świat od tyłu, w ogóle - zaczynają się dobre lata, koniec błogosławionych osiemdziesiątych, czas wypełniony słońcem, trawą i ruchem spółdzielczym, totalny luz, jakbyśmy trafili na jakiś zjazd maruderów, którzy na zawsze opuszczając okupowany kraj, w naszym konkretnym wypadku - Wielkie Radzieckie Imperium, chcieli zabrać ile tylko się da na pamiątkę po zmarłym: jakieś drobne suweniry, fotografie i świeczniki, które stały na kominku w salonie, coś z szaf z ubraniami, jakieś śmieci, zupełnie niepozorne i nikomu niepotrzebne rzeczy - naczynia, ozdoby, złoto, diamenty, metale kolorowe, węgiel, ropę, surowce naturalne; radośnie uśmiechnięte twarze ówczesnych ludzi, w czasach mojego dzieciństwa były właśnie takie - radosne i uśmiechnięte, i nawet spekulanci, związani taśmą klejącą i oblani benzyną, spalali się w swoich spółdzielczych budkach z uśmiechami i poczuciem niezmiernie trwałego lotu przez wszystkie pomarańczowe niebiosy, które otworzyły się nad naszą ojczyzną.

Uczyliśmy się z Bobem w jednej klasie, ale przez jakiś czas nie zadawaliśmy się ze sobą, częściej włączyłem się za starszymi przyjaciółmi, prawdziwymi przygłupami, gdzieś zdobywali pirackie kopie niemieckich filmów porno i prosili mnie jako prymusa, żebym tłumaczył, bo oni tam nie wszystko rozumieli, głupki jednym słowem. Kasety były parszywe, przegrywane po raz czwarty-

piąty, wideo też było parszywe, radzieckie, starsi przyjaciele wykazywali zaufanie do mojej znajomości języka trochę bezpodstawnie, trzeba przyznać, że się starałem, w końcu to przyjaciele. Tłumaczyłem na żywo, rzecz jasna, co prawda tłumaczyć tam niespecjalnie było co, na tekstowy korpus składały się głównie pieprzne frazy w rodzaju: „Jak chcesz, żebym to zrobił?”, wszystko komplikowałem, tłumacząc: on pyta ją, jak ona chce, żeby on z nią to zrobił, przyjaciele ze zrozumieniem kiwali głowami, mówiąc, dobra, mały, dobra, tak miało być. Nic dziwnego, że od tego czasu niemiecki kojarzy mi się z seksem oralnym. Największą nagrodą za trudy tłumaczenia była, oczywiście, sama możliwość zobaczenia prawdziwego niemieckiego ostrego porno, i to wtedy, kiedy twoi rówieśnicy wiedzieli coś o seksie najwyżej z kawałów, a prezerwatywy nie widzieli nawet w reklamie, bo wtedy takiej reklamy nie było.

I właśnie w tym czasie zeszedliśmy się z Bobem. I on, i ja zajmowaliśmy się fotografią, każdy z nas miał w domu całą górę różnych śmierdzących chemikaliów, różne wywoływacze, utrwalacze, wszelkie szkiełka i pincety, porządnie ich używać nie potrafiliśmy - ani on, ani ja - ale i jemu, i mnie się to podobało. Nie wiem, coś w tym było, to nie jakieś zasrane kodaki, nie tania jednorazowa podróba, bo kiedy dłubiesz kilka godzin w trujących i żrących płynach i roztworach, kiedy wprost pod twoimi palcami pojawiają się twarze przyjaciół i znajomych, sam zaczynasz rozumieć, że życie jest trochę bardziej

skomplikowane niż chiński przemysł lekki, i że wszyscy podobni do brojlerów pojebani surferzy z USA o zębach białych jak śnieg albo głupawi skauci, którzy nigdy nie dowiedzą się, co to Komsomoł i próchnica - cały ten reklamowy brak kontroli po prostu wymięka w porównaniu z podniecającym i odurzającym zapachem starego radzieckiego papieru fotograficznego. Co tu gadać: mieliśmy wspaniałe dzieciństwo i niekiepski kraj, co jak co, ale tego nie zastąpisz niczym, i właśnie pewnego razu paląc w szkolnym kiblu, rozgadaliśmy się z Bobem na temat różnych kolb i retort, i on, oglądając się ze strachem, oświadczył, że można zdobyć wesołe klisze z gotowymi już negatywami i samodzielnie robić odbitki. A co to za negatywy? pytam, kobiety, mówi, gołe kobiety, ożeż ty, mówię, a skąd je weźmiesz? mam je, mówi Bob, mój przyjaciel Foks jest kinooperatorem, on ma, mówi, dużo takich klisz, akurat nam da? powątpiewam, tak po prostu - nie da, mówi Bob, ale za litra - da.

Życie w ten sposób się spełnia, oczywiście, jeśli sam tego chcesz - ledwie kilka lat wcześniej, jeszcze jako zupełne dzieci, wybiegaliśmy na letnie trasy, machaliśmy na zakurzone ciężarówki, które przez całe lato jeździły po okolicznych kołchozach, ciągle coś przewożąc z miejsca na miejsce. Młodzi opaleni cwaniacy - idole naszego dzieciństwa, którzy kusili w kabinach starsze dziewczęta i sprzedawczynie lodów, a wieczorami grali w piłkę i spylali na przystankach autobusowych benzynę za wodę

i tytoń - rano byli jeszcze w normalnym stanie, dlatego czasami zabierali nas, dzieci wielkiego kraju i heroicznego narodu, i pozwalali przejechać z nimi kilka kursów, siedzieliśmy w nagranych kabinach, wstrzymując oddech, aby, nie daj boże, nie przeszkadzać tym pilotom w zbieraniu narodowego plonu i nie wylecieć pod najbliższą budką z piwem. Kiedy wyskakiwali z kabin, żeby odnotować w biurze kolejny kurs, opuszczaliśmy zielone przeciwsłoneczne osłonki, gęsto zaklejone od środka czarno-białym hard porno, i to był moment prawdy; czy trzeba mówić, że wszyscy marzyliśmy, by stać się cwaniakami, mieć takie same potężne bolidy, zaklejać je pornografią, ruchać sprzedawczynię lodów, a przede wszystkim - grać tak jak oni w piłkę.

No i teraz nadarza się okazja samemu naprodukować ile trzeba takiego dobra i my z tej okazji korzystamy, kupujemy na bazarze litr wody - tam, gdzie się urodziliśmy i wyrosliśmy, nie stanowiło to nigdy problemu - przekazujemy naszemu kinooperatorowi, on zaczyna tego litra pić już przy nas, długo rozwodzi się o babach w ogóle i gołych szczegółowo, pyta coś o szkołę, down jakiś, wreszcie daje nam to, o co prosiliśmy, i zasuwana wieczorny seans, a my już za kilka godzin staniemy się szczęśliwymi właścicielami wilgotnej, zgranej talii mętnych i brudnawych (w sensie jakości) odbitek, które przez kilka dni sprzedamy kolegom z klasy

za symboliczną, ale żywą gotówkę. Potem jeszcze raz dorabialiśmy odbitki ze swoich klisz, ale wszyscy znajomi już te zdjęcia mieli, sprzedawać je komuś innemu spękaliśmy, jeszcze przez jakiś czas je rozdawaliśmy, a potem zaczęły się letnie wakacje.

Przyszło nam dorastać w burzliwym i niepowtarzalnym czasie, zawsze wspominam te lata z uwielbieniem i czułością - na nasze ogolone głowy i chude ciała w ciemnych szkolnych mundurkach po prostu sypały się z niebios odkrycia i pokusy, wszystko to dobrze pamiętam, wczesny petting, słabo rozcieńczony spirytus, kradziona gandzia, zaostrzone śrubokręty w charakterze sztyletów, zarzygane podręczniki - fajnie wchodziliśmy w życie, inna rzecz, w jaką chujnię to się później zmieniło. Za wszystko trzeba płacić, no i my pewnie płacimy teraz za tę bezmyślną epokę nudnym i bezbarwnym stuporem naszego beznadziejnego braku szczęścia. Nieprawda, że czasy się nie zmieniają, jeszcze jak się zmieniają, kiedy mieliśmy czternaście-piętnaście lat, widzieliśmy anioły na szczytach donbaskich hałd, kiedy wracaliśmy z wyjazdowych meczy naszej ulubionej drużyny do swojego rodzinnego miasta, czuliśmy, jak twardo stygną diamenty pod sutkami trzydziestoletnich kobiet, które po pijanemu dawały się dotykać, chociaż zazwyczaj niczym dobrym się to nie kończyło, no, oprócz, oczywiście, onanizmu, dniami trzymaliśmy się na nogach, przechodząc od akademika do akademika, od

piwnicy do piwnicy, od przystanku do przystanku, wdychając ciepły kurz na przydrożnej trawie i gorzkawy zapach waty cukrowej na dworcu autobusowym. Zgadzam się za to płacić, chociaż nie mam czym.

Nieszczęśliwe geny Boba brały w nim górę, był moim najlepszym przyjacielem, ostentacyjnie olewał szkołę i ciągle znajdował jakieś gówno, w które od razu wdeptywał. Najpierw okradł kiosk papierniczy, szybko go wykryto i mama bufetowa musiała bulić, ale nie zatrzymało go to, wkrótce podpuścił mnie i razem włamaliśmy się do biblioteki dla dzieci. Było lato, biblioteka pachniała farbą i pastą do podłogi, przyszliśmy pod wieczór, wybiliśmy szybę i wleźliśmy do czytelni. Czytać Bob nie lubił, dlatego szybko stracił zapał, znalazł na parapecie radio i zabrał je ze sobą, ja wziąłem sobie książkę Coopera i poszliśmy do domu. W zasadzie wszyscy wiedzieli, że zrobiliśmy to właśnie my, dlatego że Bob już następnego dnia spylił radio na bazarze jakimś chlorom, a Coopera w naszym mieście czytałem tylko ja...

Pewnego razu, już później, przed samą maturą, kradliśmy nawet słupy elektryczne, ciężkie, drewniane i osmolone, Bob znalazł klientów, dwóch Czeczenów, którzy budowali coś sobie na przedmieściu i potrzebowali dobrego drewna, na innym przedmieściu odnaleźliśmy starą, na pół zrujnowaną fermę drobiu, odłączoną od sieci i niepotrzebną narodowej gospodarce,

wszędzie nawbijane było słupów z poobrywanymi drutami, umówiliśmy się, znowu za wodę, z żołnierzami z miejscowej jednostki, oni przywlekli ciągnik, Bob wziął od chrzestnego piłę spalinową i pojechaliśmy. Pomysł był nieudany od początku, ale rezygnować z niego nie chcieliśmy, tym bardziej że wojownicy wodę już wypili i tak po prostu, nie zapracowawszy na nią, do domu wracać nie chcieli, więc Bob przywiązał do siebie piłę spalinową, podsadziliśmy go, włożył na betonową podporę słupa i włączył maszynę. Słup poleciał w dół razem z Bobem, za nimi leciała piła spalinowa, przerażająco wyjąc i zgrzytając w powietrzu śmiercionośnymi zębami, jak radosny i towarzyski pterodaktyl, który przyleciał do fermy drobiu zjeść coś pysznego, ale niczego nie znalazł, poza kilkoma zamroczonymi żołnierzami piechoty. Bob nie lenił się i włożył zaraz na następny słup, też go zwałił, ale potem robota ustała, żołnierze pękali i chcieli z powrotem do koszar, Bob też się zawahał, szalona maszyna omal nie przecięła go na pół, dlatego zaciągnęliśmy słupy do klientów. Czeczeni byli pijani, ale dotrzyмали słowa dżygita i obiecali zapłacić następnego ranka.

Następnego ranka, po przeryciu pogorzeliiska, milicja znalazła nadpalone ciała. Fałszywe cygańskie złoto na ich palcach i szczękach stopiło się i pociemniało. Spóźniliśmy się o pół doby. Oni raczej też...

Lubię wspominać ten ostatni rok naszych kontaktów.



Zbyt wiele było kompromisów, jebane społeczeństwo już czaiło się gdzieś obok i czekało tylko, kiedy będzie miało do nas wszystkie prawa. Musieliśmy ukończyć szkołę i godzić się na całe to gówno, którym nas zawalali, wtedy zdawało się to nierealne, teraz wspominam i też mi od tego niedobrze, chociaż chodzi tylko o armię czy dowód osobisty, myślę, że te kilka miesięcy naderwały Boba, wybiły mu z czaszki ostatnie klepki i zatrzymać go już się nie dało, nawet przy pomocy wszystkich państwowych organów represji razem wziętych. Nie pogadasz - życie zupełnie rozjechało nasze wesołe pionierskie zastępy, a tym, którzy przeżyli, pozostaje chyba tylko przerażać się i zachwycać, śledząc bezrozumne krwawe obrazy na niebie, o piątej rano, wprost nad naszymi głowami.

Wiosną '91, kiedy sezon nabierał dopiero rozpędu, klub z naszego miasta wszedł do finału Pucharu Republiki. Powiedzieć, że była to niespodzianka - to nie powiedzieć nic. W Pucharze, poczynając już od jednej ósmej, grali profesjonaliści i to, że nasze patałachy doszły tak daleko, stało się niespodzianką przede wszystkim dla nich. Najpierw w jednej szesnastej drużyna, która miała z nami grać, nie przyjechała, więc przegrała walkowerem. W jednej ósmej wylosowaliśmy poławian, to była prawdziwa drużyna, grali w drugiej lidze, mieli swój autobus, którym przyjechali, żeby dokopać naszym, w końcu byli o klasę lepsi. Nasi wyszli na boisko jak w bój ostatni i niespodziewanie zwyciężyli. Pół miasta przyszło

zobaczyć ten mecz i jakie to było widowisko, sędzia doliczył dodatkowe dziesięć minut, profesjonaliści rzucali się na niego kilka razy, żeby obić mu mordę, ale za każdym razem nasi bossowie z komitetu sportowego ich odciągali, wreszcie gdzieś w sto drugiej minucie nasi strzelili jednak zwycięską bramkę, 4:3, i miasto piło potem kilka dni pod rząd. Nie wiem, może należałoby powiedzieć, że byliśmy kibicami, mimo że żadnymi kibicami nie byliśmy, po prostu włóczyliśmy się za drużyną po całym regionie, jeździliśmy za naszymi na wyjazdy, upijaliśmy się w podmiejskich pociągach, rzygaliśmy na korytarzach, biliśmy się na dworcach z miejscowymi, często nawet nie trafiając na sam mecz, który dla nas w tym wypadku był po prostu zbędny - na co ci jakiś mecz, kiedy jesteś pijany, ale potężny, siedź sobie i się gap, mieliśmy piękne towarzystwo, razem z pięćdziesięciu chłopą, starsi mieli około siedemnastu lat i w swoim życiu nie przeżyli chyba tylko bombardowań jądrowych. Po Połtawie trafiliśmy na nie mniej poważną drużynę spod Kijowa, mecz odbywał się na ich boisku, i nasi bossowie, żeby nie zawracać dupy ani sobie, ani drużynie, po prostu kupili ten mecz - wykorzystali miejscowy zakład remontu maszyn, który przekazał naszym przeciwnikom jakiś kombajn czy coś takiego i przeciwnicy się poddali. Tak po prostu - mieli teraz kombajn, już nie wiem, co z nim robili, boisko kosili czy co, a my nie mieliśmy nic, oprócz dumy i chęci, by jeszcze komuś dać w dupę. Chodziliśmy z Bobem na wszystkie

mecze, starsi wymagali od nas chociaż trochę dyscypliny, ale tak naprawdę żadnej dyscypliny nie było, po prostu póki nasi wygrywali, wszystko zamieniało się w zbiegowisko wszelkich niezrównoważonych typów, którzy starali się nachlać czym się dało przed końcowym gwizdkiem i - w miarę możliwości - potłuc się z kimś ku chwale miejscowego klubu i radzieckiego sportu w ogóle. Futbol w końcu - dobra, sami rozumiecie.

I tak w półfinale trafiamy na Donbas, na jeden z ich klubów, który walczy o wejście do pierwszej ligi, i przychodzi nam znów grać na nie swoim boisku. Nasi starsi zwołują naradę i postanawiają jechać na mecz razem z drużyną, podmiejskim to jakieś dwie-trzy godziny, stanąć po stronie ziomków i dojechać górniczym tępakom, żeby nie podskakiwali. Mecz miał być w niedzielę i umawiamy się, że w sobotę nie będziemy pić ani palić, zaopatrzymy się w amunicję i tytoń, i wyruszmy pierwszym pociągiem. Wszyscy są trochę oszołomieni i podnieceni, no, mówią nasi starsi, my im, kurwa, pokażemy, pokażemy, pokażemy, olewamy, kurwa, to, że trzeba jechać na teren wroga, gdzie naszych tradycyjnie bili, jakoś nas to nie przeraża, jesteśmy w finale i chuj z całą resztą, dowalimy górnikom, rozpierdolimy ich na kawałki, znaczna większość z nas ma po czternaście-szesnaście lat i pobliski Donbas w naszych nabitych sieczką i adrenaliną głowach kojarzy się może tylko z lodówkami o tej nazwie, tak że wszystko dobrze - jutro pojedziemy chuj wie gdzie i wszystkim tam

wklepiemy, przypuszczenie, że wklepią nam, jest po prostu niedorzeczne.

Jeszcze prawie w nocy, gdzieś koło czwartej-piętej, zachodzę po Boba. Szybko się ubiera, wrzuca do kieszeni stary kastet ojca, robotnicza dynastia, kurde błąt, ale w tym momencie pojawia się jego mama-bufetowa i urzędnica skandal, dokąd się wybierasz? - krzyczy, odwal się, odpowiada Bob, mam sprawy do załatwienia. Jakie sprawy? - dopytuje się mama, ma senną, bardzo ładną twarz i białe włosy, to znaczy nie siwe, oczywiście, tylko jasnoblonde, tak jasne, że aż prześwitujące, wybiegła w samym szlafroku, przez który wszystko widać, od razu mi stanął, no, myślę, mama Boba, czemu z taką mamą taki jebnięty wyrasta, mama tymczasem dalej krzyczała na Boba, w stylu, nigdzie nie pojedziesz, wystarczy, że twój przygłupi ojciec siedzi, może ty też chcesz, żeby cię posadzili, idź ty, bez złości odgryza się Bob, ja ci pójdę, ja ci zaraz pójdę, rozpala się mama, pasek rozwiązuje się całkiem, zapnij się, krzyczy Bob, czemu goła łazisz? ty pojebie niedorobiony, nie wytrzymała mama, za mały jesteś, żeby mnie uczyć, jeszcze ci nie staje, wtedy Bob nie wytrzymała i wali ją prosto z prawej, mama przelatuje przez krzesło i znajduje się na podłodze, zdążam jeszcze zauważyć jej długie nogi z kilkoma siniakami na udach, miała na sobie jakieś czarne majtki, zaczyna płakać, Bogdan, mówi, nie idź, zostań tu, pierdol się, pouczająco mówi Bob i wychodzi na poranne podwórko.

Na dworcu starsi wyciągają kilka dziesięciolitrowych kanistrów z piwem, do każdego dolewają po flaszcę wódki, wstrząsają przed spożyciem i wyruszamy po Puchar Republiki. Po godzinie kończy się piwo. Bob siedzi przede mną, w rękach ma słoik z resztką alkoholu, upija trochę i zaczyna rzygać nam prosto pod nogi, wszyscy się śmieją, Bob wyrzyguje się i też zaczyna się śmiać, potem znowu zaczyna pić i znowu nie utrzymuje tego w sobie, i zaczyna rzygać na nowo, już prawie dojeżdżamy, wszyscy są w bojowym nastroju i tym, czego najmniej nam się chce, jest futbol, wysiadamy na brudnym i niegościnnym dla nas dworcu w stutysięcznym górniczym miasteczku i idziemy kupić piwo. Jak tam? - pytam Boba, w porządku, mówi, dzisiaj nasz dzień; pewnie, odpowiadam, pewnie.

Czy trzeba mówić, że mecz przerąbaliśmy? Już do przerwy górnicy nastrzelali nam sześć do łysa, a po przerwie wkopali jeszcze dwa. 8:0! Nasz prawy pomocnik, nasza gwiazda, ulubieniec wszystkich, dwa razy strzelał jedenastki i dwa razy goalkeeper górników łatwo, jakby się znęcał, wybijał piłkę. Byliśmy w rozpacz. Połowa naszych przesadziła z pićiem i ledwo trzymała się na nogach, miejscowi gliniarze patrzyli na nas, nie ukrywając obrzydzenia i nie mogli doczekać się końcowego gwizdka, żeby wykopać nas stąd w pizdu. Niespecjalnie stawialiśmy opór. Cały nasz bojowy duch wywietrzył gdzieś po trzeciej gale w naszej siatce.

Psiarnia wyprowadziła nas za bramę stadionu i odprowadziła jeszcze przez kilka ulic w kierunku dworca kolejowego. Dobra, mówią, dworzec jest tam, pociąg będzie za czterdzieści minut, spadajcie stąd, żebyśmy was tu więcej nie widzieli, cholerne małolaty, dobra, nawet nie odpowiadamy tym pedałom. Wszystko w porządku, dzisiaj ostatecznie przesraliśmy, trzeba spadać z tego pieprzonego Donbasu, póki jest cicho i spokojnie, wychodzimy na plac przed dworcem i widzimy, że tam, na schodach przed dworcem, stoi cała brygada miejscowych, ze stu chłopów, porządna górnicza brygada, trochę z boku grzeje się kilka czeczeńskich lad, Czeczeni siedzą na maskach i czubkami finek czyszczą paznokcie, za naszymi plecami psiarski gazik na pożegnanie wesoło trąbi, dowcipni kolesie w szarych pedalskich mundurach wykonali swoje zadanie, miejscowych uprzedzili. Przyjadą teraz za kilka godzin zbierać plon, stoimy i nie możemy nic zrobić - miejscowi odcięli nam przejście na perony i teraz czekają, co też my zrobimy, no co, pojeby, krzyczy któryś z nich, no, podejdźcie, nasi najważniejsi namawiają się między sobą szeptem i dają rozkaz do odwrotu, zawracamy i tłumnie ruszamy z powrotem, miejscowi chyba się tego nie spodziewali, dlatego jakiś czas stoją, decydując, co właściwie mają robić, wystarcza nam tego czasu, żeby odejść o kilkaset kroków, staramy się nie biec, jesteśmy twardzi czy nie, ale ci, którzy idą na końcu kolumny, cały czas próbują wyrwać się do przodu, i odchodzimy dalej i dalej od dworca, i wtedy wieczorne

ciemności przecina zwycięski ryk górników, i słodkie powietrze wiosennego Donbasu drga ostrym tupotem setek ciężkich górniczych obcasów - miejscowi rzucają się w pogoń za nami. Teraz zaczyna się najciekawsze - pół setki pijanych przymułów biegnie ulicami sennego miasteczka, starając się uniknąć śmierci z setki rąk takich samych przymułów, miejscowi doganiają nas po kolei i tym, których już dogonią, raczej nie pozazdrościsz, dobrze, że chociaż Czeczeni zostali na dworcu. Biegłem i myślałem: kurwa twoja mać - 8:0!!!

Prawie udało nam się z Bobem uciec. Wyskoczyliśmy na jakąś boczną uliczkę, wzdłuż jakichś magazynów, dalej zaczynały się budynki przy stacji, szyny, długie puste tabory towarowych, słowem, prawie odskoczyliśmy i wtedy rzuciło się na nas trzech górników. Bob wyciągnął swój głupawy kastet, ale jeden z górników szybko przywalił mu sztachetą po rękę, Bob zawył i spróbował przechwycić sztachetę, ale inny górnik wyciągnął sprężynę i włożył ją Bobowi prosto w brzuch. Bob zdążył zaczepić górnika nogą, ale szybko się zatoczył i zaczął upadać, złapałem go i pobiegliśmy na nasyp kolejowy. Górnicy czemuś się zatrzymali, nawet nie wiem, czemu, może po prostu olali dalszą pogoń za nami, może też zmęczyli się bieganiem po torach, w każdym razie nie gonili nas. I właśnie to nas uratowało. Bob zawisł na moim ramieniu i trzymał się ręką za brzuch. Spomiędzy jego palców ciekła krew. Można było wracać

do domu.

O wpół do piątej rano, pod ciepłym majowym niebem, gdzieś na trasie Donieck-Moskwa, idziemy z Bobem powoli po kolejowych torach, żeby nie zbłądzić i dociągnąć jednak do najbliższej stacji, gdzie można będzie wsiąść do jakiegoś podmiejskiego. Nie mamy gdzie się spieszyć, ważnych spraw w domu nie mamy, jeśli nie brać pod uwagę, że Bob ma dziurę w brzuchu i już drugą godzinę cicho, ale bez przerwy wyje. Zaczynam wyc razem z nim, ale nie ma rady, trzeba iść na stację, tam może być szpital, a do tego naokoło ciągną się wzgórza, kupy zardzewiałego żelaza, od czasu do czasu staczamy się z nasypu, przepuszczając niekończące się cysterny z ropą i towarowe z czarnym pachnącym węglem. Rana Boba oczywiście nie jest głęboka, w innym wypadku nie trzymałby się tak długo, ale zdążył stracić dużo krwi, wyciekała mu spomiędzy palców, zalewała jego stare wytarte dżinsy, ja też byłem już cały we krwi, chciało się spać i żreć, a stacji wciąż nie było, tylko niekończące się towarowe, kilometrowe składy z węglem i ropą, tak jakby za naszymi plecami ktoś ostatecznie zdzierał dekoracje i przewoził je gdzieś na północ, pozostawiając w ciepłym majowym mroku metalowe konstrukcje, goły szkielet, donbaską pustkę.

Wreszcie Bob upadł i już nie chciał - albo nie mógł - nigdzie iść, ja też nie mogłem już dalej go ciągnąć, we mgle nie widzieliśmy nawet wzgórz, w ogóle nic -



jednolita mgła, z przodu i z tyłu, tak że nikt nie zobaczy, nawet jeśli by chciał, jak się tu walamy - w przydrożnym gównie, na rudym żwirze pod obojętnymi gwiazdami, dwóch kibiców, którzy szarpnęli się, żeby zdobyć Puchar Republiki, a zamiast tego dostali konkretnie po dupie i teraz nie liczą na pomoc ani ze strony świętych, ani nawet związku piłki nożnej.

Pali jednego papierosa za drugim od czasu, kiedy wypędzili nas z korytarza, powiedzieli, idźcie, nie przeszkadzajcie, nic strasznego się nie dzieje, wszystko będzie dobrze, nie przeszkadzajcie, wyszliśmy na schody, ona siedzi naprzeciwko mnie i bez przerwy pali, rozmawiać ze mną nie chce, pociera swój spuchnięty policzek, Bob jej jednak dobrze przyłożył, sama sobie winna, jest mi nijako, jednak to ja czuję się winny, tak jakbym to ja mu dziurę w brzuchu zrobił, chociaż ona niczego nie mówi, czuję się bardzo kiepsko i iść sobie też jakoś nie mogę, przecież siedzimy już pół godziny i milczymy. Ja w ogóle milczę od rana, właściwie nie ma z kim pogadać, Bob wyłączył się już na stacji, kolejni sierżanci wzywali karetkę i póki jechała, tłukli mnie po nerkach, żądając, żebym im wszystko opowiedział, niczego nie ukrywałem, co tu ukrywać, nawet bić mnie nie było trzeba, i tak wszystko wyśpiewałem, lekarze zabandażowali Boba, załadowali nas do karetki i zawieźli do naszego miasta. No i teraz wygonili nas ze szpitala, próbuję coś jej powiedzieć, ale ona mnie nie słucha,

plącze i dopala swoje papierosy, rozmazując po twarzy tusz i szminkę, a ja siedzę jak debil i nie mogę nic zrobić, chociaż też szkoda mi Boba, w końcu przyjaciel, sam go jakieś dziesięć kilometrów ciągnąłem, chociaż kogo to teraz obchodzi, wszędzie gówno, gówno i nic więcej, gówno.

- Niech pani nie płacze - mówię jej - wszystko będzie dobrze.

- Ty nic nie rozumiesz - tak mi chyba powiedziała: „ty nic nie rozumiesz” czy coś w tym stylu. - Przecież mu mówiłam.

- Wszystko będzie dobrze - siedzę i wciskam jej jakiś kit, załadował swoje „wszystko będzie dobrze” - wszystko będzie dobrze, debil, ona na mnie właśnie tak patrzy, jak na debila, jak na debila, który siedzi sobie i przygląda się jej obitej kości policzkowej, jej rozmazanemu tuszowi, jej jasnym potarganym włosom.

- Niech pani zostawi trochę - mówię w końcu i ona zaciąga się ostatni raz, i podaje mi papierosa, zaciągam się, czuję smak jej szminki i o mało się nie spuszczam; co będziesz robił po szkole? - pyta, nie wiem, mówię, pojedę gdzieś na studia, a, mówi, rozumiem, dobrze, mówi, idź, a ja jeszcze trochę posiedzę, poczekam na lekarza, wstaję i z niedopałkiem w dłoni idę sobie, aż nagle rozumiem, jaki jestem zmulony - i przez to, że całą noc nie spałem, i przez to, że dostałem po nerach, i przez to, że żreć się chce, i przez to, że ona siedzi tam na schodach, siedzi i nie wie, co robić, a ja nawet nie mogę z nią zostać, stoję na

środku ulicy i dalej odczuwam smak jej oddechu, smak jej miłości, smak jej nikotyny.

Dwa tygodnie później zdałem egzaminy, dostałem swoją maturę i zmyłem się z miasta.

Potem mija kilka lat, zdażyłem o wszystkim zapomnieć, zdażyłem sto razy przejąć się jakimiś innymi rzeczami, w domu od tego czasu nie byłem i nie mam tam nic do roboty. Ale raptem dostaję list od jednego ze starych przyjaciół, który gdzieś znalazł mój adres i napisał kilka kartek nieczytelnym charakterem o wszystkich nowinach i wspólnych znajomych. Zauważyłem jeszcze, że ten list przypomina napis na jakimś braterskim grobie, wypadło tak, że żywych czy przynajmniej zdrowych zostało nie tak znowu wielu. Zresztą nic dziwnego, pomyślałem, życie rzecz okrutna, szkoda, oczywiście, że tak się wszystko potoczyło, ale co teraz zrobisz, w tych zmaganiach od początku nie mieliśmy żadnych szans, no i wygląda na to, że kto w wyniku ulicznych walk o miejsce pod słońcem uszedł tylko z paranoją czy odbitą wątrobą, ma dziękować losowi za przychyłność i otwarte uprzywilejowanie; już pod koniec nagle mnie trzepnęło: znajomy pisał, że - jak by nie wydawało się to dziwne - nasz stary znajomy, mój najlepszy przyjaciel Bob, też przeżył, chociaż ma już od kilku lat poważne problemy z głową, miał delirę i teraz leczy się w popularnym w naszej okolicy wojewódzkim

szpitalu psychiatrycznym, kilka godzin jazdy od naszego miasteczka, i że już nikt go nie odwiedza, nawet mama, która się rozpiła i której odpierdoliło nie gorzej niż synowi. Następnego dnia rano pojechałem na dworzec.

Mocno się denerwowałem i nie mogłem dać sobie rady, myślałem, że zaraz dojadę, zobaczę Boba i co ja mam mu powiedzieć? cześć, Bob, jak leci, dobrze wyglądasz czy coś takiego, co w ogóle mówi się kolesiom z delirium tremens? może jest całkiem jak roślina i nie pozna mnie, co wtedy robić, też pytać, jak leci? kurwa, jak leci, Bob, zabrać spod ciebie basen? co mu przynieść? pomarańcze? na chuj mu pomarańcze, jeśli ma delirę? może w ogóle robi pod siebie, mamy nie poznaje, a ja mu przyniosę pomarańcze, idiotyzm, w końcu postanawiam nie brać niczego ze sobą. Już na podwórku myślę, ciekawe, jak się czują mieszkańcy tego pięćdziesięcioletniego miasteczka, które jeśli jest z czegoś sławne, to ze swojego szpitala psychiatrycznego, no jeśli, powiedzmy, urodziłeś się w tym miasteczku i w nim dorosłeś, i nawet zamierzasz przeżyć tu całe życie, a wszyscy wokół wiedzą, że to właśnie to miasteczko, w którym umieszczono właśnie ten szpital, jak powinieneś się zachowywać? na przykład czy można być patriotą takiego miasteczka? zapraszać do siebie w gości? mówić przy tym koniecznie, koniecznie przyjeżdżajcie! piękna przyroda! kurewsko piękna przyroda! jaka przyroda? w szpitalu czy co? prędzej odwrotnie - oni wszyscy

nienawidzą swojego miasteczka, a w przypadkowym towarzystwie na cudzym terytorium starają się nie rozgadywać i nic zbędnego nie mówić, bo mówić coś w ich sytuacji to tak jak mówić „do następnego razu” na stypie.

Szpital jest ciepły i nagrany słońcem, na podwórzu dużo kwiatów, w cieniu siedzą siostrzyczki w białych fartuchach, do Boba mnie oczywiście nie puścili, zamiast tego ordynator oddziału, na którym leżał, chciał ze mną porozmawiać. Ma czterdzieści lat, wygląd kacowy i zmęczony, ale trzyma się pewnie, zdaje się, to już nie pierwszy raz, mówię o kacu, do mnie odnosił się z sympatią, psycholog pieprzony, stara się mówić spokojnie i zrównowazenie na tyle, na ile mu się to udaje.

- Kiedy - pyta - ostatnio się widzieliście?

- Jakies pięć lat temu - odpowiadam.

- Jest pan jego kolegą?

- Tak, z tej samej klasy.

- I dlaczego pan nagle postanowił go odwiedzić?

- Nie wiedziałem wcześniej, że tu jest. Niedawno dostałem list.

- Wie pan, lepiej, żebyście się nie spotykali.

- A to dlaczego?

- Tak będzie lepiej dla niego.

- Wie pan - mówię - jechałem tu pół dnia. Rano nic nie jadłem, suszy mnie, a propos, nie gorzej niż pana, niech pan mi go pokaże, porozmawiam z nim trochę, jeśli robi

pod siebie i nie pozna mnie, niech mi go pan po prostu pokaże i pójdę sobie, i nie będę wam tu przeszkadzać.

- Wie pan, młodzieńcze... a z pana, widzę, mądry i porządny młody człowiek... cały problem polega na tym, że on pana pozna.

- Cudownie - mówię - a w czym problem, pana zdaniem?

- Problem w tym, młodzieńcze - ordynator nerwowo chrzęści palcami - że pana kolega z klasy, Charczenko Bohdan Wiktorowycz, urodzony w 1974 roku, ma poważne psychiczne odchylenia i spotkanie z panem, jestem tego pewien, nie jest pożądane ani dla niego, ani - co najważniejsze - dla pana.

- No, ze mną wszystko w porządku, poradzę sobie. A co z nim?

- Z nim wciąż bardzo źle.

- To przez wódę?

- Proszę?

- Czy to przez alkoholizm?

- Nie, alkoholizm to akurat skutek.

- Skutek czego?

- Niech pan powie - lekarz wytrzymuje pauzę - dobrze go pan znał?

- Uratowałem go przed śmiercią, jeśli można tak powiedzieć. W jedenastej klasie.

- I znał pan jego rodzinę?

- Znałem jego mamę.

- A wiedział pan, że utrzymywali ze sobą stosunki

seksualne?

- Nie wiedziałem. Chwileczkę - kto z kim utrzymywał?

- Pana przyjaciel, którego pan, jak pan mówi, uratował przed śmiercią, i jego mama.

- Co pan chce powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że pana przyjaciel dłuższy czas regularnie uprawiał seks ze swoją mamą. Zwłaszcza w okresie, kiedy pan, jeśli panu wierzyć, uratował go przed śmiercią.

- Uratowałem, uratowałem.

- Być może na darmo to pan zrobił.

- Chwileczkę, a pan skąd wie?

- Jestem jego lekarzem, między nami nie ma tajemnic. Już nie ma.

- Pierdolca można dostać.

- Można. No i właśnie to się z nim stało.

- I co teraz?

- Nic. Już drugi rok tu jest.

- A ona?

- Kto?

- Mama.

- Nie wiem. Ona nie chce go więcej widzieć. Być może przez to, jak pan się wysłowił, dostał pierdolca.

- Niech pan poczeka, chce pan powiedzieć, że kiedy się zadawaliśmy ze sobą, on spał z mamą?

- Właśnie to chciałem panu powiedzieć.

- Ze swoją własną mamą?

- No, innej oczywiście nie miał.

- Przez cały ten czas on z nią sypiał?!

- Dlatego - zdenerwował się ordynator - lepiej z nim się nie widzieć. Rozumie pan, dla niego jest pan człowiekiem z tamtego życia, z tamtego świata, człowiekiem od niej, jednym słowem.

- Tak, tak, rozumiem. Niech pan powie, jak mogę pomóc?

- Pomóc? - lekarz popatrzył na mnie z zaciekawieniem. - Modlić się za niego.

- Nie umiem - mówię. - Lepiej kupię mu pomarańcze.

Siedzę na przystanku autobusowym, przy samym wjeździe do miasteczka idiotów, słonecznego rezerwatu downów i głupków, już trzecią godzinę, trasa jest pusta, święci porzucili to słoneczne pięćdziesięciotysięczne miasteczko, zabrali się stąd razem ze swoimi manatkami, zostawiając tu kilkuset psychicznie chorych współobywateli, którzy hodują cebulę, dziki czosnek i pomarańcze, budzą się rano w pomarańczowych gajach i śpiewają chórem hosannę jakiemuś miłociwemu cherubinowi, choremu na głowę świętemu, pod którego pilnym patronatem odbywa się ich wieloletnia pielgrzymka z jednej strony pustki do drugiej, dopijam swoją butelkę, płaczę i już nawet nie czekam na żaden autobus, wątpliwe, żeby mi się udało stąd wyjechać, to ostatni przystanek, senne chore psychicznie dzieci w białych piżamach przychodzą tutaj co rano, długo



oglądają niebiosa nad przedmieściami i ich oddech pachnie słodkimi pomarańczami.

Siedziałem i myślałem o wszystkich swoich znajomych, o wszystkich przyjaciółach, o tych, którzy umarli, i tych, którym udało się przeżyć, o młodych i wczesnie postarzałych, okaleczonych, szalonych i zagubionych w tym życiu dzieciach tego wielkiego kraju, które pewnego razu odważyły się dać światu o sobie znać, nie bały się mu przeciwstawić, jakkolwiek by ich dręczył i łamał, o wszystkich zdradzonych i o wszystkich niezwyknięzonych, pomyślałem o mamie Boba, przypominałem sobie jej włosy, jej bieliznę i łyzy, potem przypomniałem sobie Boba i poczułem, jak go rozumiem, a najbardziej teraz.

...Teraz, kiedy wróciłaś do domu, i my wszyscy cię wspominamy, czasami rozmawiamy o tobie, pytamy się nawzajem, czy nie ma jakichś wiadomości od ciebie i czemu do nas - swoich przyjaciół - tak rzadko piszesz, ja też muszę od czasu do czasu skupić się na jakichś słowach, zdaniach, myśleć, co właściwie chciałabyś przeczytać w moich listach, o czym ci napisać, i rozumiem, że pisać mi się nie chce, nawet o pogodzie, zwłaszcza o niej.

Widziałem w życiu nie tak znowu wiele, a z tego, co widziałem, prawie niczego nie rozumiałem, możliwe, że to się zmieni, chociaż wątpię, po prostu, rozumiesz, są jakieś rzeczy, których już chyba nie rozumiem, może

dlatego, że nie potrzebuję ich rozumieć, zbyt są poplątane. Przeważnie przychodzi nam zadawać się z różnymi pomyłonymi mieszkańcami naszej dziwnej planety, wszelkimi chimerycznymi wyrodkami i muszę powiedzieć, że ciekawie jest z nimi, wydaje mi się, że im ze mną też. W tym życiu za dużo jest nieszczęść, myślę, ty zresztą sama to rozumiesz, można dowolnie długo rozwodzić się o zbawieniu i sprawiedliwości, ale ten, kto tak wszystko wymyślił, mylił się bez wątpienia, jestem o tym przekonany, ja go, oczywiście, nie obwiniam, ale stary powinien przejrzeć niektóre rzeczy. Nawet nie wiem, od czego warto byłoby zacząć, zresztą, to nie moje sprawy, ja nawet powiedzieć chyba mu tego nie zdołam, jeśli będzie kiedyś taka możliwość, co też wątpliwe. Tak czy owak, urodziliśmy się właśnie w tym czasie i możliwe, że jedyne, czego się od nas wymaga, to trzymać się go, w tym diabelskim czasie, nie opuszczać go, nie zdradzać, choćby nie wiem co, po to, oczywiście, dane nam było nasze słodkie dzieciństwo, nasze fantastyczne sny i widzenia, które rozrywały nam głowy i rozgniały serca, jak wielkie zielone jabłka, teraz po prostu musimy trzymać się wszystkich tych lat, lat, w których nam wypadło męczyć się i zwyciężać, i nawet jeśli to nie jest tego warte (a nie jest tego warte), musimy dotrwać do końca seansu, doczekać się zakończenia, chociażby po to, żeby pod koniec napisów, po wszystkich nazwiskach i wszystkich podziękowaniach, po całej pańskiej chujowiznie, po roku produkcji i dacie release'u

przeczytać jednak, że podczas zdjęć do tej superprodukcji żadna żywa dusza nie ucierpiała.

W ogóle nie podoba mi się wiele rzeczy, nie jestem aż taki wymagający czy wybiórczy, przeciwnie, całkiem dobrze się przystosowuję do wielu niezbyt przyjemnych warunków, ale tu w zasadzie chodzi nie o mnie, chodzi o to, że cały czas przychodzi spotykać się z taką ilością twarzy, że po prostu nie możesz nie martwić się o nich, nie przejmować się. Możliwe, że dlatego tak ważne dla mnie w tym życiu, jakkolwiek wzniośle by to brzmiało, są twarze moich przyjaciół, moich starych znajomych, twarze, które widziałem tyle lat ciągle i które teraz, kiedy zechcę, mogę łatwo sobie przypomnieć - spokojne, radosne i uśmiechnięte. Jak to zazwyczaj bywa u nieboszczyków.

Wiedeń-Charków, 2002